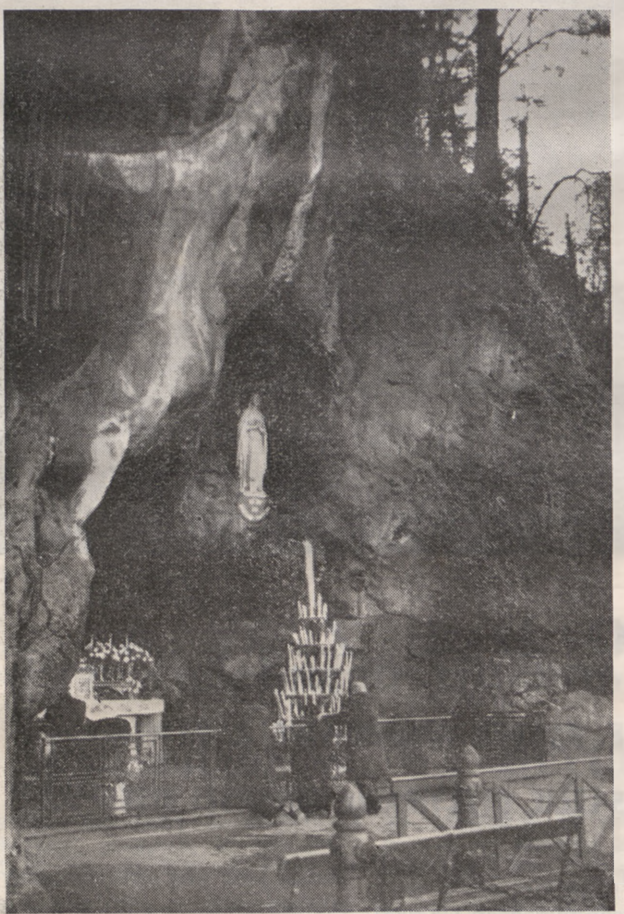
ŻYCIE

ROK XII NR 2 (551) LONDYN, LUTY 1958 R. CENA 3/-



In periculis, in angustiis, in rebus dubiis, Mariam cogita, Mariam invoca... Ipsam sequens, non devias; ipsam rogans, non desperas; ipsam cogitans, non erras; ipsa tenente, non corruis; ipsa protegente, non metuis; ipsa duce, non fatigaris; ipsa propitia, pervenis...

W niebezpieczeństwach, w kłopotach, w wątpliwościach, myśl o Maryi, wzywaj Maryi... Idąc za Nią, nie zbaczasz; Ją prosząc, nie rozpaczasz; myśląc o Niej, nie błądzisz; gdy Ona cię podtrzymuje, nie upadasz; gdy Ona cię ochrania, nie lękasz się; gdy Ona cię prowadzi, nie nużysz się; gdy Ona ci sprzyja, zdążasz...

(Św. Bernard o Maryi)

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XII NR 2(551)

Luty 1958 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-; dol. 1.50; fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-; dol. 3.00; fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-; dol. 6.00; fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się faktyczny koszt przesyłki lotniczej.

W NUMERZE:

Od Redakcji

Pierwsze numery „ŻYCIA" jako miesięcznika są — siłą rzeczy — próbą dostosowania się do nowych warunków. Dopiero rozszerzenie zespołu współdziałających z pismem piór, napływ artykułów i reakcje czytelników — pozwolą ustalać poziom i wypracować linię.

Witamy z wdzięcznością współpracę i wszelkie głosy, przerywające ciszę, najgroźniejszy bo bezpłodny stan rzeczy.

Bez czynnego udziału myślących i piszących przyjaciół, bez ich wkładu i krytyki, „ŻYCIE" nie spełni zadań nakreślonych w zapowiedzi noworocznej, nie stanie się pismem żywym, oryginalnym, potrzebnym...

JUBILEUSZ OPIEKU



O D E Z W A

J. E. KSIĘDZA ARCYBISKUPA J. GAWLINY,

W 25-LECIE OTRZYMANIA GODNOŚCI BISKUPIEJ

DRODZY RODACY!

Z łaski Boga Wszechmogącego i z woli Jego Namiestnika na ziemi, Piusa XI, przed 25 laty, 15 lutego 1932 r. doszła mnie bulla nominacyjna na biskupa Kościoła Powszechnego. Tę wielką dla mnie rocznicę będę obchodził w modlitwach dziękczynnych u stóp ołtarza Pańskiego. Proszę wszystkich Czcigodnych Rodaków żyjących na uchodźczym rozproszeniu, by raczyli w modłach za Biskupa Polowego Wojsk Polskich w pamiętnym okresie 2-giej wojny światowej, a dziś Opiekuna Duchowego uchodźców polskich na całym świecie, wspierać mnie w mojej trudnej misji.

Doszły mnie wiadomości, że na rozmaitych terenach powstały inicjatywy zbierania datków finansowych na zakup daru dla mnie z okazji tego Jubileuszu. Przyjmuję wdzięcznym sercem serdeczne intencje, pragnę wszakże z góry określić cel, na jaki te ofiary winny być skierowane, mianowicie cel społeczny. Zrozumiałą jest rzeczą, że uchodźcze społeczeństwo katolickie pragnie uczcić swego Opiekuna-Arcybiskupa z serca płynącym i szczodrym darem, ale również słuszną rzeczą jest, aby zebrane przy tej okazji fundusze szły na podtrzymanie i rozwijanie tych dzieł naszych, które potrzebują wsparcia dla dalszej swej pracy.

Rozważając pierwszeństwo potrzeb obecnej chwili, doszedłem do przekonania, że dwie z nich przede wszystkim domagają się podtrzymania i zasilenia: sprawa podręczników i czytanek dla dzieci polskich żyjących na emigracji, oraz sprawa książek katolickich dla społeczeństwa polskiego w Kraju. Ze wszystkich zakątków emigracji zaczęła płynąć pomoc materialna dla Polski, a Bóg da, że ten nurt braterskiej miłości i pomocy będzie się stale zwiększał i potężniał. Ale obok potrzeb materialnych wielkie również są potrzeby duchowe naszych braci w Kraju, szczególnie w zakresie literatury katolickiej, która z powodu niedostatecznej ilości papieru i innych przeszkód — nie może być w wystarczającej ilości drukowana w Kraju. Tysiące próśb indywidualnych przychodzi co miesiąca do naszych ośrodków wydawniczych o wysyłkę książek katolickich. Prośby te są spełniane, ale należności za te wysyłane książki osiągają tak wysokie

NA UCHODŹSTWA POLSKIEGO

sumy, że instytucje nasze nie są im w stanie podołać.

Doszedłem więc do wniosku, że najpilniejszą z kolei jest w tej chwili potrzeba wsparcia równocześnie tych dwóch celów: utworzenia funduszu wysyłki książek do Kraju i drukowania podręczników oraz czytanek dla dzieci żyjących na emigracji, które całą siłą należy bronić przed utratą wiary ojców i przed wynarodowieniem. Zaproponowałem Przewielebnym Księżom Rektorom, ze wszystkich terenów polskiego uchodźstwa, utworzenie Funduszu Jubileuszowego mojego imienia, który by wydatnie wsparł polskie katolickie słowo drukowane dla Kraju i emigracji. Pragnę gorąco, aby Fundusz książek dla Kraju i wydawnictw dla dzieci polskich na obczyźnie, gdziekolwiek zbierany na świecie, wsparł działalność naszego katolickiego warsztatu wydawniczego, pozostającego od początku pod moją opieką, a mianowicie Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas". Ta zasłużona instytucja od 10 lat wśród największych trudności i przeciwieństw rozwija swą działalność drukując książki katolickie, dobrą literaturę świecką, podręczniki dla dzieci polskich, oraz wysyłając przeważnie bezpłatnie w wielkich ilościach katolickie dzieła do Kraju. Jeśli ta owocna działalność ma być prowadzona nadal, musi uzyskać ona wsparcie, i to dostatecznie wielkie. A pragnę dodać, że my, katolicy polscy, powinniśmy być dumni z działalności tej naszej katolickiej instytucji wydawniczej; katoliccy wydawcy bowiem potrafili wysunąć się na jedno z pierwszych miejsc wśród wszystkich wydawców polskich, świadcząc o tym, że katolicy potrafią przodować w kulturze narodowej, jeśli tylko znajdą poparcie i pomoc wśród współwyznawców.

W przyszłości proponowałbym, aby ta akcja, rozpoczęta w czasie mojego Jubileuszu, mogła być dalej i systematycznie prowadzona. Pragnąłbym, aby co roku pierwszy tydzień września, początek roku szkolnego, poświęcony był zbiórce na drukowanie potrzebnych podręczników i czytanek dla dzieci emigracyjnych, pierwszy zaś tydzień Wielkiego Postu na wysyłkę książek katolickich do Kraju.

Nawołując do hojności w datkach na Jubileuszowy Fundusz Opiekuna Uchodźstwa Polskiego wszystkich Polaków żyjących poza Krajem, kończę moją odezwę gorącą prośbą o modlitwy w wielkim dla mnie dniu 25-lecia godności biskupiej, modlitwy za Kościół Powszechny, za Jego Głowę Ojca św. Piusa XII, za naród polski w Kraju i na emigracji, za katolickość i polskość naszych dzieci żyjących poza ojczyzną, oraz o modlitwę w mojej intencji o uniesienie wielkich a nie łatwych obowiązków Opiekuna Duchowego całej emigracji polskiej.

† Józef Gawlina Arcybiskup

Arcybiskup Madytu,

Opiekun Uchodźstwa Polskiego

Do Przewielebnego Duchowieństwa Polskiego w W. Brytanii

Podajemy do wiadomości, że w dniu 19 marca 1958 roku przypada 25-lecie sakry biskupiej J. E. Ks. Arcybiskupa Józefa F. Gawliny.

W związku z tą uroczystością pragniemy w krótkich słowach podkreślić działalność Jubilata jako Biskupa Polowego W. P. i Opiekuna Uchodźstwa Polskiego.

Jako Biskup Polowy W. P. organizował Jubilat od 1933 r. duszpasterstwo wojskowe w Kraju, a w czasie ostatniej wojny na szlakach wędrówki żołnierza poprzez Francję, Anglię, Szkocję, Rosję Sowiecką, Irak, Palestynę, Egipt i Włochy. W swej trudnej i ofiarnej pracy przemierzył drogą lotniczą cztery kontynenty, a czynił to jedynie dla sprawy Kościoła i Polski.

Jako Biskup Polowy szedł razem z żołnierzem dzieląc z nim dolę i niedolę.

Mianowany przez Ojca św. Opiekunem Uchodźstwa Polskiego rozsianego po całym niemal świecie, rozwija swą działalność dla dobra rodaków przy Stolicy Apostolskiej. Organizuje polskie misje katolickie przez swe bezpośrednie kontakty z miejscowym episkopatem w Holandii, Danii, Norwegii, Szwecji, Szwajcarii, Włoszech, Hiszpanii, Nowej Zelandii, Australii, Argentynie, Brazylii, Chile i w Kanadzie. Przeprowadza wizytacje tych terenów służąc pomocą moralną i materialną w ramach swych możliwości. Interesuje się żywo duszpasterstwem polskim w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych. Świadczą o tym Jego wizyty w tych krajach i stały kontakt z miejscowym episkopatem.

Za gorliwą o ofiarną pracę dla Kościoła Ojciec św. mianował Jubilata Arcybiskupem, Asystentem Tronu Papieskiego i Dyrektorem Światowej Federacji Sodalicji Mariańskich.

W dowód natomiast uznania zasług Jubilata dla Polski odtrzymał On najwyższe odznaczenia bojowe i obywatelskie Rzeczypospolitej.

Pragnąc dać wyraz naszej czci i wdzięczności dla Dostojnego Jubilata uważamy za najwłaściwsze stworzenie funduszu do Jego dyspozycji.

Zwracamy się przeto z gorącą prośbą do Przewielebnego Duchowieństwa, by zechciało za pośrednictwem Komitetów Parafialnych i organizacji społeczno-kulturalnych zaapelować do ofiarności całego społeczeństwa. Zebrane ofiary należy przekazać do Polskiej Misji Katolickiej, 2 Devonia Road, London, N. 1.

(—) Ks. Infułat B. Michalski
(—) Ks. Prałat W. Staniszewski
(—) Ks. Prałat Dr L. Bombas

Londyn, 27. 12. 1957.

FUNDUSZ KSIĄŻEK DLA KRAJU I WYDAWNICTW DLA DZIECI NA OBCZYŹNIE

im. J. E. Ks. Arcybiskupa Gawliny

Zbiórka trwa od soboty 15 lutego 1958 do niedzieli 23 lutego 1958 w krajach europejskich i na terenie Stanów Zjednoczonych, a od soboty 15 marca 1958 do niedzieli 23 marca 1958 włącznie, w ośrodkach polskich w Ameryce Południowej, Australii, Nowej Zelandii, Afryce i Azji.

W każdym polskim ośrodku parafialnym zawiązuje się Komitet Uczczenia Jubileuszu Ks. Arcybiskupa Gawliny, z miejscowym duszpasterzem na czele. Akcja prowadzona jest pod protektoratem Przewielebnych Księży Rektorów. Księża Rektorzy Misyj przekazują zebrane sumy albo wprost do Sekretariatu J. E. Ks. Arcybiskupa Gawliny, Dostojnego Jubilata, lub na ręce Ks. Prałata Władysława Staniszewskiego, Rektora Polskiej Misji Katolickiej w Londynie, którego biuro zajmuje się techniką prowadzenia zbiórki oraz koordynuje jej przebieg.

Dostojnemu Jubilatowi składają najlepsze życzenia wraz z wyrazami czci i oddania współpracownicy i czytelnicy ŻYCIA

LOURDES PO STU LATACH

Napisał **JAN TOKARSKI**

Ponad dwa miliony pielgrzymów rocznie przybywa do Lourdes. W tym roku spodziewanych jest osiem, a mówią niektórzy że nawet dziesięć, milionów.

Ale jakiekolwiek będą ostateczne cyfry, bo dopiero za kilkanaście miesięcy dowiemy się czy te zapowiedzi nie okażą się zbyt wygórowane, jedno łatwo jest stwierdzić i bez tego: Mianowicie, że nigdy i nigdzie dotąd w swoich dziejach chrześcijaństwo nie widziało sławniejszego sanktuarium, chociaż miało, i ma, tysiące tak zwanych miejsc „świętych" i „cudownych".

Łatwo też jest stwierdzić drugi fakt:

Że nikt takiego rozwoju rzeczy nie przewidywał. Zwłaszcza nie przewidywała tego władza kościelna, do której kompetencji należało określenie prawdziwości czy też nieprawdziwości wydarzeń. Nadprzyrodzony charakter widzeń Bernadety został potwierdzony przez komisję biskupią i odpowiedni wyrok ogłoszony 18 stycznia 1862 roku. Msgr Bertrand Sévère Laurence, „biskup objawień", „biskup św. Bernadety" — jak się nazywa ówczesnego ordynariusza diecezji Tarbes — podając orzeczenie komisji w kilkanaście dni później, bo w początkach lutego, napisał tak w swym „mandement" do diecezjan:

„... W waszych modlitwach i pieśniach będziecie odtąd dołączali imię N. Panny z Lourdes do błogosławionych imion N. Panny z Garaison, z Poeylaün, z Héas i Piétat".

Są to cztery z dziesięciu podobnych miejscowości diecezji, w których znajdowały się obrazy Matki Bożej czczone przez lud jako „cudowne", lecz cieszące się sławą wyłącznie lokalną. Lourdes więc — w przeświadczeniu biskupa — pomnaża liczbę tych miejsc o jedno. Ot i wszystko. Co najwyżej zajmie pierwsze miejsce obok czterech „najsławniejszych", choć poza jego diecezją już nieznanych, przybytków maryjnych.

Już w okresie budowania kaplicy, o którą za pośrednictwem Bernadety „Pani" prosiła „księży", msgr Laurence napisał w jednym z listów: „Nigdy z pewnością Lourdes nie stanie się tak popularne jak La Salette". Czyż była kiedy równie chybiona przepowiednia? Ale też czy jest coś bardziej śmiesznego niż powtarzany od czasu do czasu „zarzut", że to „kler sfabrykował tę całą aferę i dla interesu rozdmuchał rozgłos miejsca"?

Nie koniec jednak na tym.

Członkowie komisji episkopalnej, choć oczywiście prowadzili swoje badania sumiennie i krytycznie, również nie zdawali się zwracać większej uwagi na wydarzenia z Groty massabielskiej. Jak wiadomo Bernadeta w czasie widzeń i w czasie pierwszej serii badań kanonicznych nie znała jeszcze języka francuskiego. Zeznawała więc w swoim miejscowym narzeczu. Tymczasem sędziowie nie zachowali jej oryginalnych zeznań w patois, lecz w sumarycznym przekładzie francuskim. Nie zatroszczyli się nawet o zapisanie wypowiedzi Maryi, wśród których przecież zawarte było określenie misji Lourdes i posłanie do wiernych: jak się miało okazać — do wiernych całego świata. I dziś już nie jest rzeczą możliwą, aby odtworzyć w dosłownym brzmieniu i w należytej kolejności tych skąpych, króciutkich dziesięć czy jedenaście zdań. Jeśli o niektóre chodzi, nie wiemy nawet którego dnia zostały wypowiedziane i czy tylko raz czy „kilka razy", jak, znacznie później, wyraziła się Bernadeta, gdy już wiele szczegółów uleciało jej z pamięci. Nie jesteśmy też pewni dat w jaki to „wtorek i piątek" — w okresie piętnastu dni — Bernadeta nie miała widzeń (1).

Po dalszych 4 latach, bo w roku 1866, władza kościelna wciąż jeszcze zdawała się przypisywać tak niewielkie znaczenie tej sprawie, że oryginalne protokóły i raporty komisji, obejmujące zeznania Bernadety i wyrok kanoniczny, znalazły się po prostu w dwu zsypiskach przeznaczone na śmietnik. I tylko „przypadek" sprawił, że zostały uratowane od zagłady.

Lecz choć biskup Laurence nie przypisywał większego znaczenia zjawieniu się Matki Bożej w Grocie; i choć zbudował kaplicę, zakrojoną na tak skromną skalę, że zanim ją ukończono, już okazała się za mała: powziął jednak różne decyzje i dokonał aktów, których skutki miały się okazać zbawienne już w niedalekiej przyszłości. On to bowiem zakupił od gminy i od właścicieli prywatnych tereny, które dziś stanowią ową okazałą, ogromną domenę sanktuarium. On to sprawił, że żaden komercjalizm nie zakłóca dziś charakteru świętego miejsca. Żadne też imprezy, niezgodne z jego powagą, nie zdołały się ulokować naprzeciw Groty, za Gawą, albowiem akcję skupowania terenów prowadzili dalej następcy roztropnego monsignora, którzy nabyli łąkę po drugiej stronie rzeki.

Tak więc ten ubogi biskup ubogiej diecezji (2), bez własnego majątku, zmuszony prosić o pomoc biskupów Francji i ludzi świeckich dobrej woli, osobiście pozbawiony wiary w jakiś przyszły znaczniejszy rozwój tego miejsca, niejako wbrew sobie, a jakby pod wpływem natchnienia, z którego nie zdawał sobie sprawy, uczynił jednak wszystko, aby ten rozwój umożliwić i położył prawdziwie majestatyczne podwaliny pod dzisiejszy rozrost przybytków i zakładów Lourdes. Sam on, uznawszy autentyczność widzeń Bernadety, wyraził się tak: „Ecrions-nous donc: Le doigt de Dieu est ici: **Digitus Dei est hic**". Te same słowa wypada nam powtórzyć, gdy rozważymy wszystko, co udało mu się dokonać: był w tym naprawdę „palec Boży".

* * *

Mówimy „najsławniejsze sanktuarium świata", mówimy „wielkość Lourdes", uniwersalne znaczenie Lourdes" — i tym podobnie. Te i inne określenia powtarzamy tak często, tylekroć je słyszymy i widzimy w druku, że zamiast odsłaniać, nieraz zasłaniają prawdę tego miejcsa, zwłaszcza, że często wbijane są jak natrętna reklama. — To, że się jest katolikiem i że chodzi o Święte miejsce, niestety samo z siebie nie zabezpiecza od braku taktu, od prostactwa i nachalności nawet in spiritualibus. Na czym polega ta sława, ta wielkość, to znaczenie? W czym jest tajemnica Lourdes — „The mystery of Lourdes", jak głosi swoim tytułem książka amerykańskiej autorki (bestseller), Ruth Cranston? Na cudach, które zawsze fascynowały ludzi albo przez podziw albo przez opozycję?

Niewątpliwie dzieją się tu cuda zewnętrzne, dokonują się uzdrowienia. W ciągu tych stu lat było ich około 6.000. Z tej liczby, jak czytamy, co najmniej 3.000 nosi znamiona cudów

---

1) Z tego jednak nie wynika, by istotne znaczenie tego co słyszała i co miała powtórzyć, uległo w jakikolwiek sposób zaciemnieniu. Zresztą istnieją cztery francuskie opisy widzeń, dokonane przez nią samą — pierwszy z 28. 5. 1861. Ponadto dnia 24. 10. 1865 roku Bernadeta, na życzenie jezuity ojca Leonarda J. M. Cros, niezmordowanego i najkrytyczniejszego z badaczy wydarzeń w Lourdes, spisała na osobnej kartce słowa usłyszane od Matki Bożej. Nie potrzebujemy dodawać, że spisała je tak, jak je w t e d y, to jest po okresie siedmiu i pół lat, pamiętała. Kolejność wypowiedzi nie następuje w porządku historycznym.

Wypowiedzi spisane są w p a t o i s, w którym Maryja z nią rozmawiała. Lecz Bernadetka, która wówczas już dobrze mówiła i dość dobrze pisała po francusku (a bezbłędnie nie nauczyła się pisać do końca życia), popełniła charakterystyczną omyłkę. W znanych bowiem słowach, wypowiedzianych przez Maryję 25 marca: „Que soy era Immaculada Councepțiou", Bernadeta zamiast narzeczowego „era Immaculada" użyła francuskiego: „l immacule". (V. fot. autografu przed tekstem w „Histoire de Notre Dame de Lourdes" par L. J. M. Cros, S.J.; t. 1.)

2) „Evêque sans fortune d un diocèse pauvre" — czytamy ze wzruszeniem w liście, który rozesłał do całego episkopatu francuskiego.

Pisze tu, że pragnie zbudować kaplicę na miejscu objawień. Ale nie mając osobistego majątku i zarządzając biedną diecezją, poważy się na tę imprezę tylko wtedy, jeśli będzie mógł liczyć na dobrowolne ofiary swoich wiernych i wiernych z innych diecezyj.

nych. Lecz odkąd zaczęto prowadzić krytyczne procesy kanoniczne zaledwie pięćdziesiąt i kilka uleczeń uznano za cudowne. Ta ostrożność władz kościelnych wywołuje nieraz niecierpliwe zdziwienie nawet u niewierzących lekarzy. W przełożonej niedawno na język angielski książce dra F. Leurat i dra H. Bon „Modern miraculous cures" czytamy o żachnięciu się takiego właśnie lekarza, który powiedział: „Jak to jest, że was, sędziów kościelnych, trudniej jest przekonać, niż mnie"?

Bez wątpienia, cudowne uleczenia przyczyniły się do sławy tego miejsca. Jednak czy tylko chorzy przybywają do Lourdes? Toć na dwa miliony ludzi rocznie przybywa ich tu zaledwie około 30.000, to znaczy — 1.5 procent. Reszta, to ludzie zdrowi. Zapewne wśród tej „reszty" są tacy, którzy może przybywają prosić o łaskę wyleczenia dla swoich bliskich, są też zwyczajni turyści i są ciekawi sensacji: ujrzeć na własne oczy jak to nieuleczalnie chory z okrzykiem radości wstaje i zaczyna chodzić. Ale przecież większość tej olbrzymiej „reszty" przybywa tu w jakimś innym celu. Ostatecznie, cuda dzieją się tu nieliczne nawet jak na tę niezbyt wielką liczbę chorych, którzy tu o cud błagają. Dzieją się też cuda w innych miejscach. Chyba więc nie tylko cuda utrzymują sławę Lourdes? Nie tylko cuda powodują, że znaczenie Lourdes z roku na rok wzrasta, że zjawia się tu coraz więcej ludzi. A jeśli nie same tylko cuda, zatem co?

Fakt zjawienia się Maryi? Lecz są przecież inne miejsca, gdzie Jej zjawienie się również zostało potwierdzone: Rue du Bac i La Salette przed Lourdes, a po Lourdes, nie wspominając już o Fátima — Beauraing i Banneux. Jednak należy, i można, tylko powtórzyć — bezradnie jeśli kto chce: Lourdes pozostaje Lourdes.

Lourdes jest jedyne, bo — św. Bernadeta była jedyna. I na słowach tego prostego cierpiącego dziecka ufundowane jest największe sanktuarium świata. Musimy sobie z tego zdawać sprawę, że bez Bernadety — takiej, jaką była w czasie objawień, jaką była przez następnych 8 lat w Lourdes, jaką się stała u zakonnic w Nevers, Lourdes nie byłoby Lourdes. Znaczenie tego miejsca w świecie chrześcijańskim staje się jasne i zrozumiałe tylko w liniach życia tej pirenejskiej dziewczyny. Dla siostry Marii Teresy Vauzous mogła ona być tylko „une paysanne grossière et sans instruction". Ale ta zasłużona i bardzo pobożna zakonnica zapomniała zupełnie, że to samo pozbawione miłości i szacunku określenie kierowało się w stronę Matki Boga, która również była wieśniaczką „bez ogłady i bez wykształcenia", bez tego, co czcigodna mistrzyni nowicjatu, a potem znakomita matka generalna, za „ogładę", „wykształcenie" i „wychowanie" raczyła uważać.

Niemal do ostatnich chwil swego życia (zm. w r. 1907) nie zmieniła swej opinii o Bernadecie, nie wierzyła w autentyczność widzeń, bo gdyby Najświętsza Panna chciała się ukazać, z pewnością znalazłaby „osoby bardziej tego godne i lepiej ułożone"... Jakiś „żart niebieski" sprawił, że miała życia swego dokonać w Lourdes. Przeciągające do Groty pielgrzymki, ich śpiewy religijne drażniły ją tak, że z trzaskiem zamykała okno i zasłaniała okiennice, aby tylko nie widzieć i nie słyszeć, bo przypominało jej to tak już dawno zmarłą Bernadetę, o której twierdziła, że była zaledwie przeciętnie pobożną zakonnicą.

A przecież z wszystkich cudów Lourdes cudem największym jest św. Bernadeta. „Jak Niepokalana jest arcydziełem Boga, tak Bernadeta jest arcydziełem Niepokalanej" — powiedział dzisiejszy biskup Lourdes. A stała się tym arcydziełem, najpierw, bo była dzieckiem modlitwy, a w duchu modlitwy i pokuty przyjmowała wszystko, co ją z woli Boga spotykało. Na kolanach, z koronką w ręku, trwała w czasie widzeń. Ona tylko widziała „Panią". Ale wszyscy mogli dojrzeć refleks Zjawiska w zachowaniu, rysach, ekstazie dziewczęcia. — Jeśli tak wyglądają w niebie, wtedy nie ma takich ofiar, które warto zrobić, żeby tylko dla tego widoku dostać się do raju — napisał świadek jednego z widzeń, który patrzył na Bernadetę. Innym do końca życia towarzyszył widok zachwyconego i rozmodlonego dziecka. Wystarczyło sobie przypomnieć jej rysy, jej uśmiechy i ukłony w czasie widzeń, nieporównany znak Krzyża świętego, żeby człowieka jeszcze po latach ogarnęła fala niewysłowionego szczęścia i nieziemskiego piękna — mówią inni. Na kolanach też, z koronkami i różańcami w ręku, wśród nieustającego napięcia modlitwy trwały tłumy w czasie tych widzeń. I duch i żar modlitwy od tych pierwszych dni nigdy tu nie ustał i nie ustaje. „Nigdy pan nie będzie wiedział co to znaczy: modlić się, jeśli pan nie pojedzie do Lourdes — powiedział mi przed 5 laty ks. Antoni Mańturzyk. — Dopiero w Lourdes po raz pierwszy w życiu zrozumiałem co to JEST modlitwa". Lourdes to miasto modlitwy, największa na świecie stolica modlitwy, błagalne, wynagradzające i wysławiające oblężenie nieba. Trzeba samemu tu być, aby to pojąć.

Oto ogrodzenie przed budynkiem z sadzawkami z cudowną wodą. Na noszach, na wózkach — chorzy. Widok tego morza cierpienia porusza do głębi, wyciska łzy z oczu, chwilami więzi głos w gardle, wstrząsa: a jednak nie przygnębia. Modlą się głośno wszyscy, chorzy, 'les brancadiers', pielęgniarki, pielęgniarze. A za ogrodzeniem zdrowi, wielki tłum, który wspomaga modlitwami chorych. Oczy zamknięte lub szeroko otwarte, słowa przechodzą w wołanie, wołanie w krzyk, żar modlitewny zdaje się przepalać serca. Są chwile takiego uniesienia, że nagle ludziom staje się za ciasno we własnych ciałach: złożone na piersiach dłonie odrywają się jedna od drugiej i ramiona jak skrzydła wznoszą się ku górze. Zdaje się wtedy, że to jeden olbrzymi idealny przewodnik, po którym bez żadnego oporu płynie błogosławieństwo niebieskie i czysty prąd łaskawości, i temu prądowi żadne ciało nie stawia przeszkody. Wszyscy „jedno są", żywy ołtarz wiary, nadziei, miłości. — Lecz słowa ludzkie nie potrafią oddać tego ducha modlitwy, który panuje w Lourdes. Grota, kościoły, droga krzyżowa, popołudniowa procesja z Sanctissimum, procesja wieczorna, oto elementy tego nieustającego natężenia modlitewnego. Oto tajemnica siły, mocy i znaczenia Lourdes w świecie chrześcijańskim.

Czy Lourdes jest — sanktuarium maryjnym?

Na to pytanie, które niejednego może zdziwić lub nawet zgorszyć, należy odpowiedzieć słowami patriarchy Jakuba, wyrzeczonymi w Betel: „Prawdziwie Pan jest na tym miejscu [...]. Nie jest tu nic innego, jeno dom Boży i brama niebieska" (Gen. 28, 16; 17). Ale do tej sprawy należy wrócić osobno.

Jan Tokarski

OJCIEC ŚW. O LOURDES

W Lourdes Bóg „w ciągu 100 lat, za przyczyną Matki Niebieskiej, uweselił przez przywrócenie zdrowia bardzo wielu chorych, słabych i znużonych lub ulżył im przez nadzieję nagrody wiecznej i rozdał w obfitości skarby Swych łask niezliczonym wiernym świata katolickiego, pielgrzymującym albo indywidualnie albo zbiorowo do Groty Massabielskiej w celu uproszenia Bożej pomocy".

(z listu „Peropportunum videtur" z 21 listopada 1954)

Każdy kraj chrześcijański jest krajem Maryjnym. Jest nim i Francja: Maryja czczona jest w wielu miejscowościach, żeby tylko wymienić Paryż, Chartres, Le Puy, Reims, Amiens. O miłości Matki Boskiej do narodu francuskiego świadczą tak liczne w wieku XIX Jej objawienia, choćby poprzestać na wymienieniu „Cudownego Medalika" i Lourdes. Matka Boża w czasie Objawień nawoływała do pokuty i modlitw za grzeszników. I od 100 lat w Lourdes samozaparcie się sanitariuszy (brancardiers), pokój na twarzach chorych, zbratanie pielgrzymów z różnych krajów, gorliwość modlących się — wszystko to sprawia, że jedni oddają się całkowicie na służbę Bogu i bliźnim, mniej gorliwi zdają sobie sprawę ze swej oziębłości i odnajdują drogę modlitwy, najbardziej zatwardziali grzesznicy, a nawet niewierzący nawracają się, a przynajmniej nie pozostają nieczuli na świadectwo „mnóstwa wierzących mających jedno serce i jedną duszę" (Dz. 4, 32).

(streszczenie Epistula Encyclica „Le pèlerinage de Lourdes" z 2 lipca 1957)

WIELKOŚĆ PAWŁA WŁODKOWICA

Napisał ks. STANISŁAW BEŁCH

Celem pracy niniejszej jest przyczynienie się do większej znajomości Pawła Włodkowica u myślących Polaków oraz próba zwrócenia uwagi na pewne szczegóły, które winny być uwzględnione przy studiach nad tą wielką postacią. Polacy, jeśli coś wiedzą o Włodkowicu, wiedza ich zacieśnia się do hasła, że wiara nie powinna być narzucana siłą: „fides ex necessitate esse non debet". Otóż co do tego punktu Włodkowic jest najmniej oryginalnym; cytuje Decretum Gratiani, co przed nim zrobił już 200 lat wcześniej Wicenty Kadłubek. Wiedzą też o nim, iż walczył na Soborze w Konstacji przeciw zaborczej polityce Krzyżaków i o powrót do macierzy Pomorza i innych polskich ziem, czy o wolność Żmudzinów. Jest to prawda, ale nie całkowita. Jeśli chodzi o uczonych, historycy podkreślają u Włodkowica jego rolę polityka i dyplomaty w służbie Polski i Unii oraz jego zasługi oddane obu zjednoczonym narodom. Najdalej poszli prawnicy, którzy widzą w nim teoretyka polityki i prawa międzynarodowego. Jest to pogląd słuszny, ale nie zupełny, bo zacieśnia Włodkowica w ramach prawa, robi z niego typowego kanonistę średniowiecznego. Komuniści widzą w nim postępowca, wroga papiestwa, antyklerykała, zwolennika Husa. Uważany jest przez innych za nominalistę w filozofii, za koncyliarystę, pacyfistę, humanistę, wroga świętego imperium, zakonów rycerskich i krucjat, a nawet za poprzednika reformacji. Ci, co zajmują się badaniem źródeł jego doktryny, zacieśnili go jednostronnie do ucznia wielkiego Zabarelli, zapominając o punktach, w których Włodkowic ze swym mistrzem się nie zgadza.

Chcę zwrócić uwagę ważną dla całości zagadnienia zależności Włodkowica od autorytetów, na których się opiera i z których obficie cytuje. Mianowicie przyjmując zdanie danego autora robi to tak długo, jak to idzie równolegle z jego myślą; z chwilą gdy myśl jego rozmija się z autorytetem, pozostawia go i ciągnie myśl dalej, znowu najczęściej idąc za zdaniem innego mistrza. Typowym przykładem może być stosunek do św. Tomasza z Akwinu. Włodkowic jest tomistą w rzeczy, ale więcej jeszcze w metodzie, dzięki której uzupełnia i rozwija, tam gdzie trzeba, do ostatecznej konkluzji doktrynalnej i praktycznej to, co jego mistrz powiedział lub, raczej, czego nie dopowiedział.

Z wykształcenia raczej prawnik, Włodkowic porzuca niedorozwiniętą myśl prawniczą i w rozwiązaniach spraw międzynarodowych posługuje się raczej bardziej już rozwiniętą i mniej od prawa rzymskiego zależną myślą teologiczną. Typowym tego przykładem jest problem tytułu prawnego do posiadania opartego na zadawnieniu i pochodny stąd problem restytucji. Przeciwnicy Włodkowica (Ardicinus de Novaria) stali na stanowisku prawa rzymskiego, a raczej jego komentatorów (legistów). Stanowisko teologów było nieprzejednane: choćby rzecz była posiadana najdłużej i to w dobrej wierze, jednak skoro tylko posiadacz uświadomi sobie, że rzecz ta była nieprawnie zabrana, musi ją zwrócić, bo inaczej grzech nie będzie mu odpuszczony.

Hostiensis był zdania, że nauka teologów w tej sprawie jest zbyt anielska, a legistów zbyt zmysłowa: „nimis angelica... nimis sensualis", a więc należy się trzymać kanonów czyli ścisłego prawa jako wypływającego z rozumu: „standum esse canonibus sequentibus rationem" (Hostiensis, **Summa aurea, II, De praecriptione rerum immobilium. § Quae ex gantur**, ed, 1612 fol. 641.). Włodkowic jednak idzie za myślą teologiczną i popiera ją kanonami prawa i argumentami rozumowymi. I tak więc, Pomorze powinno być zwrócone Polsce pomimo długiego posiadania ze strony Krzyżaków i pomimo cesji ze strony królów polskich, ponieważ tego domaga się moralność, która jest ponad literą kanonów prawnych.

Mówiąc o wielkości Włodkowica należy zwrócić uwagę na materię, w której działał. Kopernik prawie sto lat po nim ogłosił swoje dzieło o prawach kierujących ruchami martwych ciał niebieskich. Włodkowic zajął się prawami życia ciał ziemskich, bliskich, skomplikowanych i trudniejszych do badania i ustalania, ciałami, które się zwą narodami zorganizowanymi politycznie, czyli państwami. Kopernik zaciekawił i pchnął badania naukowe w swej dziedzinie na nowe tory. Włodkowic tego szczęścia nie miał; temat jego życia poszedł w zapomnienie, a ruchy ciał narodowo-państwowych poszły po liniach błędnych sprowadzając ludzkość do stanu z epoki jaskiniowej. Kopernik miał swego Galileusza i innych, którzy jego naukę rozwinęli. Myśl Włodkowica miała Vitorię i innych, ale mniej szczęśliwych. Myśl ta nie upadła, to prawda, i dziś przeżywa swój renesans, ale nie weszła w życie i narody z tego powodu cierpią. Górę wzięły fakty dokonane przez mocnych, na których Grocjusz zbudował swą syntezę petryfikującą to, co było tylko stanem faktycznym, choć nie da się zaprzeczyć, iż w jego syntezie wiele jest poglądów słusznych, zwłaszcza tam, gdzie Grocjusz zgadza się z tym, co odziedziczył po swych katolickich poprzednikach.

Czcimy Zawiszę Czarnego, królów i wodzów; pod niebo wynosimy literatów i muzyków. O Włodkowicu, który wzbogacił myśl ludzkości i przysłużył się interesom naszego narodu i pokojowi świata, wiemy mało, lub nic. Pracował on w temacie i w materii wczoraj zapomnianej ale pilnie już dziś badanej: w materii najdonioślejszej dla codziennego życia człowieka. W tej to materii dokonał on syntezy o cechach tak trwałych, że czytając nowoczesne, byle dobre, prace, widzi się analogię z jego myślą. Odkrywa się jako nowość to, co Włodkowic przed wiekami stwierdził i wprowadzenia czego w życie jako obowiązującego prawa domagał się na wielkich zjazdach międzynarodowych.

Przypatrzmy się pokrótce tej syntezie. Wychodzi ona z kontemplacji prawa wiecznego, będącego w umyśle Stwórcy i Rządcy narodów, a opiera się na obserwacji faktów, jakimi są narody ziemi i ich życie. W tym życiu widzi Włodkowic działanie Trójcy Boskiej, Jej obraz i podobieństwo: siłę, moc Boską, Prawo odwieczne, niezmienne plany i drogi Boże, oraz Miłość, która jest spójnią życia międzynarodowego, jego „formą" ożywiającą. Żaden z tych elementów sam w sobie, oderwany od dwu innych, nie wystarczy; muszą istnieć i działać razem. Bez tego nie będzie harmonii: moc bez prawa, prawo bez mocy, moc i prawo bez miłości, miłość bez prawa i mocy — pełnego życia dać nie mogą. Jednego z nich zabraknie, a międzynarodowe stosunki kuleją i zawalą się.

Narody, to ludzie noszący w sobie obraz Trójcy i mający działać na podobieństwo Jej. Wielość ludzi zrasta się miłością w coraz obszerniejsze jedności społeczne, od rodziny zaczynając, doprowadzając do doskonałej i pełnej społeczności politycznej narodu i państwa, a kończąc na społeczności narodów i państw: miłość scala członki między sobą w ciało i ciało z głową (**Epistola ad Sbigneum...**). W rozumie ludzkim jest złożone zrozumienie społeczne i prawne. Ten rozum jest źródłem, które rodzi coraz doskonalsze społeczności i prawa — dla szczęścia coraz to mniejszych jednostek społecznych, aż do rodziny, by uczynić szczęśliwym samego człowieka, dla którego jest wszystko. Ten naturalny dynamiczny pęd ludzkości ku zjednoczeniu organizacyjnemu i prawnemu, dla coraz pełniejszego urzeczywistnienia rozwoju natury i planów Stwórcy, spotyka się z porządkiem łaski, który nastał w czasie Łaska i system budowany łaską wspierają to dążenie, pokazują mu drogi i wychowują człowieka ku urzeczywistnianiu dążeń naturalnych. Pragnienie Boga wcielonego „aby wszyscy byli jedno" spotyka się z tymże samym naturalnym dążeniem ludzi. Widząc faktyczną niemożność dojścia do tego przez ludzkość, Bóg wcielony ustanowił społeczność jednoczącą wszystkich i władzę tej społeczności: Kościół i papieża.

W syntezie Włodkowica jedna rzecz nie zjada i nie znosi drugiej; raczej jedna powstaje z drugiej i potrzebuje jej. Razem stanowią harmonię. Kościół w pojęciu Włodkowica to augustiańska **civitas Dei** w nieaugustiańskiej interpretacji. Kościół obejmuje trzy wielkie sfery: wewnętrzne życie łaski doskonalące całość życia, organizację społeczną ludzi żyjących życiem łaski dla celów ściśle duchowych i nadprzyrodzonych, oraz społeczność międzynarodową ludzkich społeczności państwowych dla celów doczesnych, jako że chrześcijanie żyją na ziemi i po chrześcijańsku mają to życie ułożyć. Nie tylko jednostki czy ich pomniejsze społeczności, ale wszystko, ma być kształtowane według myśli Bożej będącej w rozumie poprzez naturalne, ale i poprzez wlane światło; całość życia ma być kształtowana według tejże myśli.

Tak pojęta **civitas Dei** ma swoje fazy i podziały. Jedna żyje aktualnie, druga w potencji, w możności. To należy rozumieć dwojako. Po pierwsze, obejmuje ona tych, co należą aktualnie do aktualnie żyjącej już i działającej na ziemi **civitatis** Dei. Ci, należąc do niej aktualnie, są w potencji albo cofania się i odpadnięcia, albo ciągłego postępu i wrastania w nią. Włodkowic ma pełne zrozumienie dla nowonawróconych Litwinów i broni ich nieco pogańskich jeszcze obyczajów, tym, że jeszcze nie mieli czasu, by osiągnąć stopień cywilizacyjny dawnych chrześcijan. Zarazem zaś wskazuje narodom o starej kulturze chrześcijańskiej na ich braki, a nawet na wykroczenia nie tylko przeciw doskonałemu prawu łaski, a nawet przeciwko prawu narodów, będącemu podstawą **civitatis Dei**, czego się nawet poganie i barbarzyńcy nie dopuszczają. Po drugie do tejże **civitas Dei** należą również państwa niechrześcijańskie i od niej odpadłe, jak schizmatycy. Ich przynależność nie jest jednak aktualna, lecz potencjalna. Co ich może sprowadzić do aktualnego i żywego członkostwa? Tylko miłość i sprawiedliwość istniejącej już aktualnie **civitatis Dei**. Kościoła. Tu też leży źródło wysiłku Włodkowica nad reformą Kościoła i reformą praw, jakimi narody chrześcijańskie mają się kierować w swych wzajemnych stosunkach i w stosunkach z narodami niewiernymi.

Należy zwrócić szczególną uwagę na pogląd Włodkowica na tytuł prawny papieża i cesarza do władzy uniwersalnej, do rządzenia, społecznością społeczności politycznych, państw. Jest gorącym zwolennikiem jurysdykcyjnej najwyższej doczesnej władzy papieża nad światem. Władzy takiej domaga się prawo natury i dobro ludzkości, a umieścił ją Bóg w swym zastępcy dla praw ziemskich. Jednakże władza ta nie istnieje sama dla siebie, dla władzy, i nie może zdobywać swego uznania drogą siły materialnej. W założeniu jest ona w potencji, a jej aktualne uznanie następuje drogą zgody płynącej ze zrozumienia i wolnej woli. Dla wszystkich jest ona władzą opiekuńczą, sędzią i interpretatorem prawa; ma ona bronić sprawiedliwości i równości. Jest ona władzą najwyższą w tym sensie jednak, że mogą obok niej i powinny istnieć inne międzynarodowe władze nawet o zasięgu uniwersalnym, powstające z wyboru państw. Z prawa natury państwa są niepodległe w stosunkach wzajemnych, chociaż podległe władzy nadrzędnej; w stosunkach wzajemnych są współzależne.

Na tym polegałaby Włodkowicowa synteza międzynarodowa w skrócie. Nie jest to synteza statyczna, lecz dynamiczna. Znaczy to, że poza najogólniejszymi zasadami niezmiennymi, aktualny układ stosunków międzynarodowych zależy od okoliczności i potrzeb chwili. **Bonum commune societatis humanae** jest prawem najwyższym zarówno konstytucyjnym, jak moralnym, jak sądowniczym. Synteza obejmuje samą rzecz, czyli doktrynę, obejmuje metodę rządzenia oraz wnioski prawodawcze. Jest to naturalny wynik samej rzeczy: pogląd dotyczący układu życia zaczyna się od czystej koncepcji budowanej na obserwacji życia oraz kontemplacji zasad wiecznych i zmierza do praktycznego wniosku: tak należy ułożyć stosunki, czyli takie ma być prawo. Z tym łączy się dalsza uwaga dotycząca czytania tej syntezy w dziełach Włodkowica. Jedyną pracą bezpośrednio syntetyczną jest traktat **De potestate papae et imperatoris respectu infidelium**. Konkluzje, znane jako **Opinio Hostiensis**, są sformułowaniami prawnodoktrynalnymi; studiujący ten traktat winni najwięcej uwagi poświęcić znajdującej się w drugiej jego części ostatniej kwestii, którą uczeni zazwyczaj lekceważą. W tych dwu pracach jednakże mamy tylko zarys; dopiero dalsze prace są całą budową. Synteza wychodzi z faktów, dochodzi do najwyższych zasad doktryny i prawa, które zbliża do faktów aktualnych, by je ocenić i osądzić w świetle doktryny i prawa.

Czytającego dzieła Włodkowica uderza mnogość źródeł, cytatów i odnośników. Może to wytworzyć wrażenie braku oryginalności. Otóż Włodkowic nie chciał być oryginalnym doktrynerem, innowatorem. Myśli, jakie przyjmuje i łączy w organiczną całość, to rzeczy znane i powszechnie uznane, choć rozrzucone po tomach wielu autorów, bez koordynacji, w swej oryginalnej postaci wzajemnie sobie nieraz przeczące. Włodkowic, mając już wyrobioną myśl własną, wyrażał ją formułą gotową znalezioną u wielkiego autora, a tam gdzie takiej formuły nie było, tworzył ją sam opierając się na silnym fundamencie rozumowych przesłanek. W ten sposób jego synteza jest równocześnie syntezą twórczą i oryginalną.

Między współczesnymi i jeszcze za swego życia Włodkowic był uznawany za znakomitość jako prawnik i jako patriota, bojownik o prawa Polski i Litwy. Po śmierci również taka o nim opinia się zachowała. Długosz, który miał lat dwadzieścia parę, gdy Włodkowic umarł, pisze mu wspaniałe świadectwo w swej historii. Jak sam wspomina, opisuje on w niej tylko najznakomitsze czyny ludzi najwybitniejszych stanowiskiem, w wypadku Włodkowica jednak robi wyjątek, bo choć wybitnego urzędu nie miał, wybił się i zasłużył na miejsce w historii swą cnotą. Długosz podkreśla jego prawość (probitas), rzadko spotykaną miłość Ojczyzny i pracowitość dla niej. Jak żaden uczony i jak żaden człowiek jego czasów pracował on pilnie i sposobami najbardziej trafnymi i skutecznymi nad wyrwaniem z rąk krzyżackich Pomorza, Chełmna, Michałowa, etc., nad zniszczeniem Zakonu krzyżackiego i dla honoru Polski. Napisał liczne dzieła dowodzące słuszności Polski w jej żądaniach zwrotu tych ziem. Pism tych, pisze Długosz, używamy po dziś dzień. Zagłębiał się w studiach dla zdobycia wiedzy i orientacji życiowej do tego stopnia, że zapominał o jedzeniu i dopiero służący przymuszał go, by co zjadł (Hist. Pol., IV, 567.).

To, że Długosz i polscy mężowie stanu posługiwali się pismami Włodkowica w sprawach międzynarodowych, widać zwłaszcza w piątym tomie Długosza: świadczy też o tym fakt, że dzieła jego były w kancelarii królewskiej, a po śmierci Oleśnickiego Długosz kazał je oprawić i złożył w skarbcu koronnym w katedrze na Wawelu, gdy zwłoki ich autora były złożone w podziemiach katedry. Ale można o tym powiedzieć coś więcej. Mówiąc o Długoszu jako ojcu polskiej historiografii trzeba zwrócić uwagę na tego, który był ojcem tego ojca. Włodkowic prowadził procesy w obronie praw Polski i potrzebował dokumentacji. Musiał prostować wersję krzyżacką co do sprowadzenia ich przez Konrada i co do ich roli w historii Polski; w tym celu gorliwie wertował i wykorzystywał polskie kroniki, jak o tym sam w swych pismach wspomina (**Littera ad Regen Poloniae, Scriptum Mag. Pauli**...). Musiał to zbierać i korzystać w zbieraniu z pomocy innych (J. Karwasińska, „Z dziejów archiwum koronnego...". **Przegl. Hist.**, 37 (1948), 184 - 7.). Powstał ruch w zbieraniu dokumentacji, powstało zrozumienie dla ważności pisanej historii. Długosz miał wtedy lat siedem dopiero, a jego przyszły mecenas, Oleśnicki, odgrywa już coraz większą rolę w polityce królestwa. Zeznania Oleśnickiego jako świadka w procesie Zenona (przeciwko Krzyżakom w r. 1422 - 3) są mocno oparte o stare kroniki (**Lites, II, 227 sqq.**). O innych świadkach, zwłaszcza biskupach i innych osobach duchownych można powiedzieć to samo. Później Oleśnicki każe Długoszowi pisać wielką i dokładnie udokumentowaną historię. Przekonano się, że miecz Grunwaldu sam nie wystarczy bez oręża wiedzy i nauki.

I Długoszowi właśnie zawdzięczamy zacieśnienie naszej znajomości Włodkowica do jego starań o zwrot Pomorza, etc. Polsce. Jan Fijałek znowu pisząc: „ten, któremu Polska winna wznieść pomnik po królu Jagielle, mistrz Paweł Włodkowic...". zaraz podaje tytuł, że mianowicie, „staje w obronie nieprzedawnionych praw wielkich książąt litewskich do ziem... Żmu-

dzi i Sudowii" (**Polska i Litwa w dziejowym stosunku**, 110). W obu wypadkach zagadnienie winno być postawione w sposób następujący: Włodkowic walczył o prawo samostanowienia dla Pomorza, Dobrzynia, Żmudzi, etc. tak w stosunku do cesarstwa i Krzyżaków, jak i w stosunku do Polski i Litwy; papież pojęty jako uniwersalna władza, cesarz, Krzyżacy, król polski, czy wielki książę litewski, nie mogą prawem, siłą lub układem rozporządzać ich losem bez ich zgody, a jeśli istnieje dokument wyrażający zgodę na ich niekorzyść, dokument jest fałszywy a zgoda niebyła. Podkreślił to Włodkowic mocno, mówiąc w imieniu Żmudzinów do Ojców Soboru (**Propositio Samagitarum, Lites**, III, 185.). Król polski ma prawo do Pomorza, a wielki książę litewski i król polski do Żmudzi, bo Pomorzanie i Żmudzini tego chcą.

Arnold van Gennep w swym trzytomowym dziele (**Traité comparatif des nationalités, Paris**, 1922, I, 36) uważa Jakuba ze Szadek za pierwszego teoretyka zasady narodowościowej, czyli samostanowienia narodowego i nazywa go godnym poprzednikiem Grocjusza. Idąc za Gennepem, to samo stwierdza Robert Redslob profesor historii traktatów na wydziale prawa i nauk politycznych w Strasburgu (**Histoire des grands principes du droit des gens depuis l'antiquité jusqu'à la veille de la Grande Guerre**, Paris, 1923, str. 137 - 8). Uczeni ci jednak, mówiąc o Szadku z r. 1464, nie mogli wiedzieć, że tegoż argumenty są powtórzeniem włodkowicowych z 1421. Nie mogli też wiedzieć, że doktrynę Włodkowica o ograniczeniu prawa narodu do samostanowienia zastosowano później w procesie Korony z Mazowszem (Długosz, **Hist. Pol.**, V, 391, 359.).

Istnieje szczegół dotąd nieznany, a ważny zarówno dla biografii Włodkowica jak i dla rozwoju jego koncepcji. Pierwszą sprawą bronioną na międzynarodowej arenie jest prawo pogańskiego ludu do zadecydowania o swym politycznym i religijnym losie. Papież, cesarz, Krzyżacy, król polski i wielki książę Litwy nie mają prawa narzucać Żmudzinom władzy im wstrętnej. Żmudzini mają prawo usunięcia takiej władzy jak również wypędzenia misjonarzy szkodzących ich słusznym narodowym prawom, a zażądania misjonarzy, którzy prawa te respektują. Utarło się zdanie, że Włodkowic bronił tej zasady po raz pierwszy na Soborze w Konstancji. Zdanie to utrzymać się nie da. Na Soborze Włodkowic występuje już jako dojrzały i uznany pisarz, działacz i autorytet przedmiotu. Poza tym sam on w pierwszej pracy na Soborze stwierdza, że już o tym i to nie mało i nie w jednym miejscu pisał i mówił (**Opinio Hostiensis**, Praefatio). Dziś można powiedzieć, iż już co najmniej w r. 1407 sprawą tą był zajęty, a z całą pewnością, iż w latach 1409/10 wystąpił na dworze papieskim jako pełnomocnik Jagiełły i z polecenia Papieża przedłożył rzecz na piśmie.

Tekst Włodkowica, z którym teraz zapoznamy się, pochodzi z r. 1416, ale dotyczy wypadków począwszy od traktatu w Raciążu w r. 1404, a bezpośrednio swej akcji w latach 1409/10. Pisze co następuje (w streszczeniu i parafrazie): Krzyżacy starali się wszelkimi siłami posiąść wolny kraj Żmudzinów. Ponieważ Żmudzini oddali się pod opiekę Władysława króla Polski, Krzyżacy robili naciski na króla, by im ten kraj dał drogą darowizny. Twierdzili bowiem, iż mają prawo zdobyć mieczem, nie tylko Żmudź, ale wszystkie inne kraje należące do króla Władysława i do Witolda, a więc Litwę, Ruś, etc., jednakże gotowi są od swego prawa odstąpić, jeśli drogą rekompensaty dostaną Żmudź; skoro ją otrzymają, przestaną napadać Litwę. Zarówno król jak i jego poprzednicy doświadczyli już strasznych napadów Zakonu; nie tylko on sam, człowiek nieuświadomiony w tych sprawach, ale nawet niektórzy dawni chrześcijanie, którzy byli ludźmi wykształconymi, a nawet biskupi, myśleli, że siła bojowa Zakonu i pomoc licznego rycerstwa Zachodu pozwolą Krzyżakom mieczem egzekwować swe prawo oparte o bulle cesarskie i papieskie i pozbawić Polskę Litwy i Rusi; chcąc uniknąć większego zła i kupić sobie pokój, król zrobił z Zakonem prawny układ, mocą którego darował mu Żmudź. Darowizna ta jednak była z samego prawa nieważna jako robiona przez tego, kto nie miał prawa darować: „tamquam a superficiario", a szczególnie dlatego, że przyczyną transakcji był podstęp ze strony obdarowanego, zaś ze strony darowanych Żmudzinów nie tylko nie było zgody, ale był wyraźny sprzeciw. Niedługo potem Żmudzini wyrzucili Krzyżaków ze swego kraju, a ich zamki zrównali z ziemią, sprawę zaś swoją przedłożyli ustnie władysławowi królowi Polski, a innym królom i książętom na piśmie. Egzemplarz tej skargi sam widziałem — mówi Włodkowic — a teraz ją załączam na końcu tej pracy jako dowód prawdy tego co mówię. Pismo to przedstawia przyczyny, dla których Żmudzini nie mogą być pod władzą Zakonu. Wysłali też oni do króla Polski uroczyste poselstwo, nastając z całą usilnością, by ich wziął pod swą opiekę i podległość (subiectionem), oświadczając, że są gotowi wypełnić wszystko, co im król poleci zrobić dla zaprowadzenia chrześcijaństwa. Zapewnili też króla, iż jeśliby ich prośby nie wypełnił, będą zmuszeni poddać się władzy Tatarów i tych wezwać z pomocą, dodając przy tym, że wolą raczej zginąć niż żyć pod władzą Krzyżaków. Wyrazili też swą wolę, by król o tym wszystkim poinformował na piśmie Stolicę Apostolską. Król zaś to uczynił, równocześnie przez moje usta — pisze Włodkowic — dając poufnie do poznania: „intimando per organum vocis meae" Papieżowi Aleksandrowi V bawiącemu wówczas w Bolonii, że takie połączenie się Żmudzinów z Tatarami stwarza groźną sytuację dla chrześcijaństwa w tych stronach, jako że Tatarzy już i tak są groźni. Król prosił Papieża o decyzję, którą on z całą pokorą wykona. Papież wysłuchawszy tego, polecił mi — Włodkowicowi — przedłożyć sobie całą sprawę na piśmie, by w ten sposób umożliwić mu naradę z Kolegium Kardynałów. W czasie zaś gdy to się działo (narady), Zakon napadł na Polskę, w rezultacie czego doszło do krwawej bitwy w roku 1410. Ponieważ bulle papieskie, na których Zakon opiera swe prawa do Żmudzi, były okazją tego rozlewu krwi (Włodkowic pisze, że w przeciągu ośmiu godzin Krzyżacy stracili 80.000 a według innych 100.000 ludzi) i innego zła, dlatego bulle te jako szkodliwe dla wiary i dla ludzi winny być uznane decyzją Soboru jako nieważne i fałszywe, a ponieważ **de facto** zostały wydane, winny być skasowane. — Tyle tekst Włodkowica.

Tekst powyższy interesuje nas w tej chwili tylko z punktu widzenia naszego tematu. Stwierdza on, że biskupi i nawet uczeni („qui docti videbantur") i rycerstwo polskie wierzyli w moc prawną bull papieskich danych Zakonowi co do Żmudzi, Litwy, etc. i doradzali królowi układ w Raciążu z powodów przez Włodkowica wymienionych. Ci „docti" zaś to chyba profesorowie prawa Akademii Krakowskiej ze Stanisławem ze Skarbimierza włącznie. Król miał związane ręce i bullami i własnym układem uważanym przez jego doradców za ważny. Kto zatem wpłynął na zmianę stanowiska rady koronnej i przygotował prawnie i moralnie zwycięstwo pod Grunwaldem? Przecież bezpośrednim powodem najazdu krzyżackiego z r. 1409 było opowiedzenie się Polski po stronie Żmudzi wbrew traktatowi w Raciążu i bullom papieskim. Z późniejszej działalności Włodkowica wiemy, jak mocno wpływał na poglądy i postępowanie króla i rady koronnej. W okresie przed bitwą jemu powierzył król kierowanie interesami polskimi przed Papieżem i jemu Papież polecił zreferowanie sobie całej sprawy. A sprawa ta była u swoich podstaw teologiczna i prawna, a w rezultatach polityczna. I polityczne względy wskazywały na absurdalność pozycji prawnej. Bulle i układ w Raciążu zawarty w konsekwencji bull stwarzają sytuację sprzeczną z prawem: Żmudzini chcą wiary i przynależności do chrześcijańskich społeczeństw, a prawo rzuca ich w ramiona Tatarów. W tej sytuacji Włodkowic dokonał odkrycia, które jest podstawą całego jego późniejszego stanowiska; mianowicie bulle, o których mowa, podlegają kategorii bull fałszywych i wyłudzonych podstępem i nie tylko nie mają one żadnej wagi prawnej, ale nawet ci, co je w ten sposób zdobyli i nimi się posługują, podlegają surowym, przez prawo kanoniczne przepisanym, karom; a dalej, że układy typu układu w Raciążu są według prawa nieważne. Czyli w rezultacie Zakon działa bezprawnie, a Żmudzini i król polski są w prawie walczyć przeciw Zakonowi. Późniejsza bulla Jana XXIII, znosząca ważność bulli papieskich danych ongiś Zakonowi w stosunku do terytoriów będących pod władzą króla Władysława i Witolda, nosi bijący w oczy znak rozumowania Włodkowica. Na Soborze Włodkowic sypie jak z rękawa bogatą

kolekcją tekstów, faktów i sformułowań i powiada, że robił to już wcześniej i gdzie indziej. Domaga się kasacji bull i unieważnienia wszelkich najdawniejszych traktatów cesji terytorialnych robionych przez Polskę na rzecz Zakonu. Musiał zatem pracować nad tym o wiele wcześniej i to argumentami, które choć dopiero później znajdujemy w pełni rozwoju, już w Bolonii są w pełni dojrzałe, jak np. zasada zgody Żmudzinów. Pomijając inne dowody, możemy stwierdzić, że na zmianę stanowiska rady koronnej wpłynął decydująco i skutecznie Włodkowic i to, mym zdaniem, było powodem zrobienia go rektorem Uniwersytetu i reprezentowania go na Soborze, oraz polecenia mu prowadzenia sporu i w Konstancji i później we Wrocławiu i w Rzymie.

Ostatnim tytułem Włodkowica do wielkości jest jego pogląd na wojnę i na międzynarodowy trybunał, działający w miejsce wojny, oraz na rolę wojny jako akcji policyjnej dla egzekucji wyroku. Jego zdaniem, społeczność ludzka winna załatwiać swe spory drogą postępowania przed trybunałem sądowym. Rozstrzyganie sporów drogą wojny jest właściwe zwierzętom, a nie ludziom. Wojna jest dopuszczalna tylko dla odparcia bezpośredniego ataku zbrojnego, dla wykonania wyroku sądowego, oraz gdy zawodzą wszystkie inne drogi pokojowe. Nie możemy tej sprawie poświęcić więcej miejsca; należy jednak powiedzieć, że warunki, sformułowane ostatecznie przez św. Tomasza z Akwinu, pod którymi wojna jest sprawiedliwa, były dla Włodkowica nie wystarczające. Według Akwinaty, wojna jest sprawiedliwa, gdy ją wypowiada i prowadzi prawowity autorytet publiczny, a więc król a nie osoba prywatna, dla słusznej przyczyny i w uczciwym zamiarze: „auctoritas, iusta causa, intentio recta". Włodkowic idzie dalej i domaga się dwu uprzednich warunków: wtedy tylko Tomaszowe trzy warunki są ważne, gdy poprzedził je przewód sądowy, na którym sprawiedliwość przyczyny wojny została dowiedziona i zapadł wyrok sądowy. Wojna wtedy może być wydana, gdy skazany pomimo sankcji religijnych, społecznych i ekonomicznych odmawia wykonania wyroku.

Jak dotąd, opierać było można ten pogląd tylko na jednym tekście Włodkowica znajdującym się w trzeciej konkluzji epilogu pierwszej części traktatu **De ordine fratrum cruciferorum**, etc. opublikowanym przez M. Bobrzyńskiego. Obecnie jednak mamy dwa dodatkowe teksty, które wykluczają wszelkie co do interpretacji pierwszego nieporozumienia. Tekst ten omawia zasadę uniwersalną i stosuje ją bezpośrednio do Papieża w stosunku do wojny, jaką tenże ma prawo wydać niewiernym za przekroczenie prawa naturalnego. Tekst drugi dotyczy bezpośrednio Zakonu krzyżackiego; w streszczeniu wygląda następująco. Zakon twierdzi, że ma podstawę prawną zająć Żmudź po śmierci Jagiełły i Witolda, ale prawo to nie jest dowiedzione sądownie. Sąd (chodzi o arbitraż we Wrocławiu w r. 1420) powinien wobec tego wydać zakaz pod karą np. 100.000 grzywien, by Krzyżacy nie usiłowali samowolnie dochodzić swych praw, jak to zwykle czynią, dopóki nie usprawiedliwią swego tytułu przed sądem. Obie strony zainteresowane winny być przez sąd wysłuchane, jak tego domaga się prawo (**Petitio sumaria**, art. 3, ms R, 14 fol. 316.).

Zasadę tę stosuje Włodkowic również do Polski w dochodzeniu jej niezaprzeczalnych praw do Pomorza, etc. Prawo to Polska ma, ale winna je egzekwować drogą sądową, jako że nigdy i nikomu nie wolno wszczynać wojny z własnej inicjatywy za wyjątkiem wypadku odparcia napadu: „numquam enim iure permittitur guerra posse fieri auctoritate propria, nisi vim vi repellendo," a i to tylko „cum moderamine inculpatae tutelae" (**Epist. ad Sbigneum**, etc.).

Nikt ani przed Włodkowicem ani po nim aż do naszych czasów nie poszedł tak daleko jak on. Chodziło mianowicie o kryterium oceny, czy i kiedy król może użyć swego autorytetu, kiedy przyczyna jest słuszna i kto ma o tym decydować i kiedy o wydającym wojnę można powiedzieć, że jego intencja jest uczciwa. Pozostawało jedynie indywidualne sumienie i moralność. Według Paul Duclos (**Le Vatican et la seconde querre mondiale**, Paris, 1955, str. 204), trzy warunki św. Tomasza nie weszły ze sfery moralnej w sferę socjologiczną; jedynie wzgląd grzechu osobistego był czynnikiem hamującym wojnę; św. Tomasz osądza wojnę z punktu widzenia indywidualnego i subiektywnego, a jego komentatorzy nie mieli odwagi zastosować myśli swego mistrza do międzynarodowej sytuacji swych czasów. My możemy zauważyć, że dopiero Pius XII stanął na stanowisku już przed wiekami sformułowanym przez Włodkowica.

Czas zatem najwyższy, by Włodkowic stał się znany i uznany przynajmniej wśród swych rodaków. Czas też, by stał się on znany szerzej. Jego synteza tylko w części jest dziś widziana. Wprowadzenie w życie jej wskazań jest wciąż jeszcze pieśnią przyszłości, ich urzeczywistnianie to pochód dziejowy narodów aż do końca świata.

Jeśli czcimy, wydajemy i czytamy dzieła poetów i powieściopisarzy naszych, czas, byśmy wydawali, czytali i pokochali prace Włodkowica. W twardej one są podane szacie i najeżone kolcami naukowego aparatu; czytać Włodkowica można tylko po solidnym przygotowaniu historycznym, teologicznym, filozoficznym i prawniczym. Ale mogą się znaleźć ludzie, którzy potrafią myśl jego oddać w formie lżejszej i przystępnej dla ogółu, a postać wielkiego Włodkowica zbliżyć do współczesnego społeczeństwa polskiego w formie choćby biograficznej powieści.

Ks. Stanisław Belch

Artykuł powyższy jest napisany według odczytu, jaki ks. kan. S. Belch wygłosił w ramach Katolickiego Tygodnia Wydawniczego w Londynie w grudniu ub. roku. Ks. S. Belch prowadzi od szeregu lat prace badawcze nad piśmiennictwą spuścizną Pawła Włodkowica. Rezultaty swych studiów ogłosi w dwutomowym dziele pisanym w języku angielskim.
RED.

NASZE SPRAWY

BANKRUCTWO POLITYKI KOLONIALNEJ

Epoka, w której żyjemy, jest pod wielu względami epoką przełomową w dziejach. Ale może pod żadnym względem ta przełomowość naszych czasów nie przejawia się w sposób tak uderzający, jak w dziedzinie stosunku między Europą a światem pozaeuropejskim.

Od ostatniego odparcia — pod Chocimem i Wiedniem — naporu tureckiego na Europę aż po drugą wojnę światową, to znaczy przez z górą dwa i pół stulecia, świat żył pod znakiem hegemonii europejskiej, hegemonii, która zaczęła się już zresztą zarysowywać z chwilą odkrycia Ameryki przez Kolumba i opłynięcia Afryki przez Vasco de Gamę, a która w dziewiętnastym wieku przekształciła się po prostu w europejskie panowanie. W ciągu pięciu wieków od zakończenia średniowiecza wytworzyła się w świecie uderzająca techniczna przewaga Europy nad całą pozostałą ludzkością: w dawnych wiekach Chiny i Indie górowały nad Europą swoją techniką, niezwykłością swoich wynalazków, doskonałością i obfitością swej produkcji przemysłowej, ale w epoce nowożytnej Europa prześcignęła je pod tymi względami w sposób całkowity. Europejskie okręty, a potem koleje, a wreszcie samochody i samoloty dały rasie białej tę przewagę nad rasą żółtą i czarną, jaką ma orzeł nad żółwiem, a europejskie armaty tę, jaką ma wilk nad owcą. Europa zapanowała nad światem; zapanowała politycznie, zapanowała gospodarczo i zapanowała umysłowo. Cały świat uczy się dziś w swoich szkołach europejskiej matematyki, fizyki, gramatyki i historii, posługuje się europejskim kalendarzem, czyta europejskie książki, mierzy europejskimi miarami i wagami, ubiera się w europejskie ubiory, bawi się na sposób europejski, myśli na sposób europejski, kształtuje swoją moralność wedle europejskich wzorów, no i — rzecz prosta — korzysta z europejskiej produkcji, techniki i technicznego postępu.

Ale to się teraz kończy. Przewaga techniczna Europy, a nawet całej rasy białej, łącznie z Ameryką i Rosją, jeśli nie należy jeszcze do przeszłości, to szybko do likwidacji zmierza. Japończycy, a nawet Chińczycy umieją już robić takie same obrabiarki, okręty, samochody, samoloty i armaty, jak Europejczycy i Amerykanie, a niedługo będą to umieli także Indusi i Murzyni. Epoka przewagi rasy białej przemija. Przemija zwłaszcza, że Rosjanie, będący właściwie elementem pogranicznym europejsko - azjatyckim,

przechylili się wyraźnie na stronę anty-europejską i stają na czele buntu ras kolorowych przeciwko Europie. Polityczna przewaga Europy nad Azją jest już obalona, a nad Afryką w gwałtownym tempie się kruszy. Jeszcze trochę — a o stosunku sił w świecie będzie już tylko decydować stosunek liczebny głów ludności i położenie geograficzne.

Jakaż to była niesłychana koniunktura, owe pięć wieków przewagi europejskiej, dająca możność wywarcia przez Europę wpływu na oblicze świata! Europa pokierowała losami świata, przekształciła całe życie dalekich kontynentów, nauczyła te kontynenty myśleć, czuć i żyć na swoją modłę. A przecież Europa miała wielki skarb, którego udostępnienie całemu światu było jej wielkim obowiązkiem: wiarę chrześcijańską. Czy ten obowiązek spełniła?

Niestety, nie spełniła go. Całkiem inna wiara, zrodzona w Europie, czyni dziś w świecie największe podboje: marksizm. A równolegle z nim filozofia użycia, powodzenia materialnego i egoizmu. Dzisiaj, gdy spływa ze świata fala europejskiego panowania, pozostaje jako osad po tej fali europejska technika, a zarazem europejska demoralizacja, pustka ideowa i egoizm. I wyrasta Europie ponad głowę rosnąca potęga sił, powołanych przez Europę do życia, a będących całkowitym zaprzeczeniem tego, co stanowi istotę ducha Europy, mianowicie zaprzeczeniem chrześcijaństwa.

Nie da się niestety zaprzeczyć, że Europa sprawiedliwie sobie na obecny swój los, swe pognębienie i śmiertelny lęk zasłużyła. Zamiast zanieść bliźnim swoim na młodszych (nie zawsze zresztą młodych) kontynentach słowo Chrystusowe, oraz to, co miała najwartościowszego w dorobku swej kultury, zaniosła ona ducha materializmu, ucisk, wyzysk, pogardę rasową, zły przykład i zgorszenie. Trudno się dziwić, że to się teraz mści. Pogarda wraca w postaci nienawiści, ucisk i wyzysk w postaci buntu i grożącego najazdu.

Mógłby ktoś powiedzieć, że to nie nasza sprawa, nas, Polaków.

Owszem, bardzo nasza. Z kilku przyczyn. Po pierwsze, obchodzi nas tak samo jak innych chrześcijan dzieło szerzenia słowa Chrystusowego wśród niewiernych. Pragniemy, by słowo to się w świecie rozszerzało. A zarazem zgoła nie pragniemy, by szerzyło się w nim — słowo marksowskie.

Po wtóre, mieszkamy w Europie, a więc obchodzą nas losy Europy. Jeśli Europa zginie, to możemy łatwo zginąć razem z nią. A jakże łatwo jest Europie zginąć! Przecież Europa, to tylko półwysep Azji. Iluż Kserksesów, ilu Atyllów, ilu Dżyngischanów, ilu Kara Mustafów najeżdżało już Europę z Azji! To się może powtórzyć; to się już właściwie powtórzyło w formie ekspansji sowieckiej, która zatknęła czerwoną gwiazdę na murach Warszawy, Krakowa, Wilna, Wrocławia, Pragi, Budapesztu, Drezna, Berlina! Jedynym ratunkiem Europy jest — Afryka. Europa razem z Afryką jest wciąż wielką siłą. Europa bez Afryki jest nędznym okruchem, jest zamorskim przyczółkiem Ameryki, którego Ameryka w razie czego nie uratuje. A Afryka jest dzisiaj najwyraźniej terenem wielkiego zmagania. Zmagania duchowego między chrześcijaństwem, islamem i komunizmem. I zmagania politycznego między wpływami Europy, oraz Rosji (która poprzez Bliski Wschód najwyraźniej ku Afryce sięga) i Azji (która w postaci Indii marzy o zamienieniu Afryki na swój teren ekspansji).

Po trzecie wreszcie, ze względów historycznych.

Polska zgoła nie jest obca zagadnieniom kolonialnym. Przeciwnie. U zarania nowożytnych dziejów kolonialnych leżał spór, w którym Polska odegrała rolę czołową — lecz przegrała. Dzieje europejskiej ekspansji kolonialnej potoczyły się wbrew temu, co Polska radziła. Potoczyły się ku nieszczęściu chrześcijaństwa i Europy, mimo początkowych, kilkuwiekowych, złudnych europejskich sukcesów.

U podstawy europejskiej ekspansji kolonialnej leżała nie sprawa rasy czy sprawa podbojów zamorskich, ale sprawa stosunku do pogaństwa. Przez długie wieki, jedynym pogaństwem, z jakim się Europa stykała (mówię o pogaństwie, nie o islamie, który jest czymś zupełnie innym), były ludy bałtyckie i fińskie. Wszak Żmudź została nominalnie nawrócona dopiero w roku 1412. Wszak jeszcze w roku 1525, już dobrze po Kolumbie i Vasco de Gamie, miał miejsce na Sambii ostatni bunt Prusaków, którzy po raz ostatni złożyli ofiarę swoim bogom. Trzy tylko narody były w styczności ze światem tego, starego, europejskiego pogaństwa: Polacy, Niemcy i Skandynawowie.

W ciągu kilku wieków narastał spór między narodem polskim, a narodem niemieckim (reprezentowanym przez cesarstwo oraz — jeszcze wybitniej — przez Krzyżaków) co do sposobu ustosunkowania się do pogan. Polska miała za sobą papiestwo i opierała się o odwieczne tradycje Kościoła; uważała ona, że pogan należy nawracać przede wszystkim słowem. Niemcy uważali, że pogan trzeba podbijać i nawracać siłą, a w razie oporu wyrzynać, lub zamieniać w niewolników. Z czasem, niemiecka teoria stała się po prostu pretekstem dla ekspansji kolonialno-zaborczej, której celem było zdobywanie ziemi dla osadnictwa i zdobywanie bogactw.

Spór ten przejawił się w wielu postaciach. Jego praktyczną stroną była okazana odmienność polskiej metody nawracania pogan, zastosowanej w unii z Litwą. Jego strona teoretyczna znalazła swój punkt szczytowy w sporze polsko-krzyżackim na soborze w Konstancji, w latach 1414-1418, gdy jeden z największych umysłów, jakie Polska w swoich dziejach wydała, Paweł Włodkowic z Brudzenia, rektor uniwersytetu krakowskiego, prawnik, myśliciel i dyplomata, przeciwstawił krzyżakom cały, skończony system poglądu na to, jak świat chrześcijański winien ustosunkować się do pogan.

Spór polsko-krzyżacki, rozegrany na tym wielkim, europejskim forum, był zwycięstwem Polski, ale zwycięstwem połowicznym. Teorie polskie wywarły duży wpływ na sposób myślenia teologów i prawników w ówczesnej Europie, odezwały się później w poglądach myślicieli hiszpańskich i innych. Ale w praktyce życia politycznego zwyciężyli krzyżacy. Szerokie masy rycerstwa w Europie myślały o pogaństwie tak, jak ich nauczyli krzyżacy w czasie tak licznych, masowych pobytów rycerzy ze wszystkich krajów Zachodu w krajach krzyżackich celem udziału w ich wyprawach.

A były to czasy, gdy Europa stała w przededniu zetknięcia się ze światem pogańskim o wiele szerszym, niż dotychczas znany świat Litwinów, Żmudzinów, Prusaków, Łotyszów, Estończyków i Finów. Zarówno Krzysztof Kolumb, jak Vasco de Gama urodzili się około trzydzieści lat po zamknięciu soboru w Konstancji, gdy echa sporów soborowych żywo jeszcze dźwięczały w życiu umysłowym Europy i Kościoła. Ówczesny spór wytknął drogi przyszłego postępowania Europy wobec świata pozaeuropejskiego.

Niestety, Europa poszła na podbój świata nie metodą polską, lecz metodą krzyżacką. W początkowej fazie, Hiszpanie i Portugalczycy poszli jakby drogą pośrednią: podbijali pogan, ale rzeczywiście pragnęli ich nawrócić, a swoje korzyści uważali za poboczny skutek, nie za cel swoich wypraw. Toteż gdziekolwiek ich noga stąpnęła, narodziły się nowe narody chrześcijańskie, nieraz żółto lub brunatnoskóre, a jednak będące jakby cząstką katolickiej Europy: malajskie, a jakże katolickie Filipiny, indiański Paragwaj, na pół indiańskie, wsławione Matką Bożą z Guadelupe i świętą Różą Limańską Peru i Meksyk, w polowie czarna, nie znająca przedziałów rasowych Brazylia. Ale po pewnej liczbie pokoleń i stuleci, także i Hiszpania i Portugalia zostały zepchnięte w cień, a miejsce ich zajęli naśladowcy Krzyżaków, pierwszego państwa w świecie, które urzędowo przyjęło reformację. Ileż dzieł zostało w wyniku tego zburzonych! Wszak prześladowania religijne w Japonii, kraju, którego południe było już na pół nawrócone i w którym Kościół przetrwał w katakumbach przez z górą dwa wieki bez księży i bez Sakramentów, były rezultatem przede wszystkim intryg Holendrów, zawistnych wobec Hiszpanii! W Chinach, w Indiach Brytyjskich, w Indiach Holenderskich, w tak wielu koloniach afrykańskich, pobudowano koleje i nauczono tubylców strzelać z karabinów maszynowych i posługiwać się środkami zapobiegawczymi przeciwko ciąży, ale nie zasiano, lub prawie nie zasiano posiewu krzyża.

Dziś trzeba pracę zaczynać od początku. Nie jest to praca obojętna Polsce i nie może jej być obca.

Kto wie? Może mamy na tym polu nową, wielką rolę do odegrania w przyszłości? Może stary posiew naszej myśli teraz dopiero będzie mógł wzejść? Posiew, za który tyleśmy wycierpieli! Bo przecież nasza katastrofa dziejowa była w niemałej mierze rezultatem naszego oddania się ideałom wolnościowym i naszego przeciwstawiania się czynnikom takim, jak Krzyżacy i Prusy, których ideałem była siła, a nie prawo!

Jesteśmy narodem europejskim, ale nie ponosimy współodpowiedzialności za kolonialne winy Europy i nie czujemy się z kolonialną Europą solidarni. Nie poczuwamy się również ani trochę do solidarności z ekspansją rosyjską, wciągającą ludy kolorowe w pułapkę nowej eksploatacji i ucisku. Nasza postawa jest odrębna — a głęboko oparta o tradycje naszej historii. Kto wie? Może mamy wielką rolę do odegrania. Może zdołamy wreszcie powiedzieć światu w imieniu Europy to, co Europa ma światu do powiedzenia w sposób uczciwy i nie obłudny? I może zostaniemy przez świat wysłuchani?

Polonus

WSPÓŁCZESNA ARCHITEKTURA SAKRALNA

Napisał MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

Mówiąc o architekturze sakralnej mam zasadniczo na myśli budowle służące kultowi w specyficzny sposób. Rozróżnić by można bowiem dwa typy budowli sakralnych. Świątynie — t.j. miejsca przeznaczone do modlitwy, oraz pomniki będące niejako same modlitwą, bo służące już swym istnieniem i kształtem do wyrażania chwały Istoty (czy istot w wypadku religii pogańskich) nadprzyrodzonej.

Typ architektury pomnikowej (często przyjmujący formę grobowców ubóstwionych ludzi) odgrywał niejednokrotnie, w dziejach kultury i sztuki poważną rolę. Można mieć jednak zastrzeżenia co do przynależności tego typu budowli do architektury: ich kształt, rozmiar, rodzaj użytego materiału oraz technika tworzenia wskazywałyby wprawdzie na to; nie posiadają one jednak charakteru użytkowego i stanowią rodzaj kolosalnych rzeźb wznoszonych przez architektów.

Mówiąc o architekturze sakralnej mam na myśli tylko architekturę w ściślejszym tego słowa znaczeniu, t.j. wyposażoną w cechy właściwe jej użyteczności: w danym wypadku umożliwiającą modlitwę; sprzyjającą modlitwie.

Architektura chrześcijańskiej Europy, w różnych okresach swego rozwoju, spełniała warunek użyteczności gorzej lub lepiej, zależnie od tego jak gorący duch ożywiał wiernych oraz jak głęboko Kościół przenikał strukturę społeczeństw i jak dalece był jej integralną częścią.

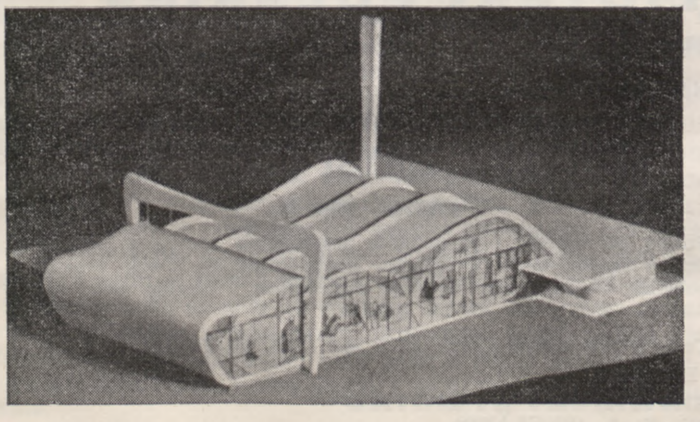
Styl romański, od swych zamierzchłych początków, oraz styl gotycki, każdy na swój sposób (pierwszy — z przewagą skupienia, drugi wzniosłości) realizowały, zapewne najlepiej, typ budowli przeznaczonych do modlitwy. Architektura Renesansu gorzej wywiązywała się ze swego zadania: tworzyła świątynie bardzo piękne, ale nadające się raczej do reprezentacji niż modlitwy.

Barok, mimo swego bogactwa, płynności form, a często właśnie dzięki tym charakterystycznym dla siebie cechom, jest nawrotem do dobrze zrozumianej architektury kościelnej. Wzniosłość jego jest pozornie płytsza, bardziej dostępna, łatwiejsza. Mówię „pozornie“, gdyż jest w baroku — przynajmniej w jego najcelniejszych budowlach — ukryta pod skorupą gadatliwości ciemna głębia ruchliwego niepokoju, właściwa ludziom i dziełom tego czasu.

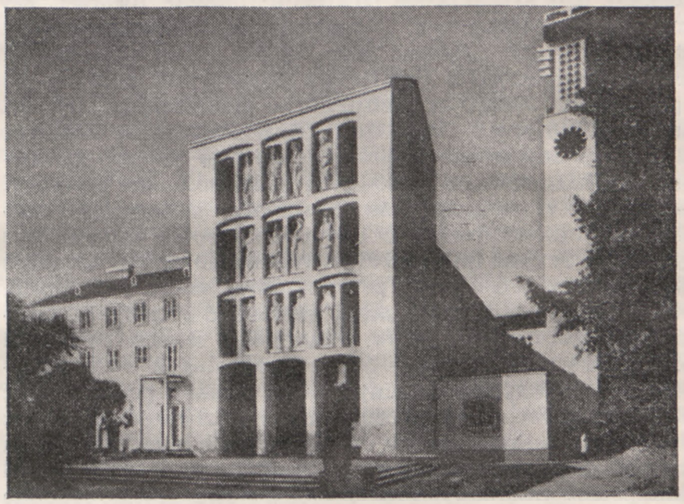
To samo, z odchyleniem ku większemu wyrafinowaniu i subtelności, rzec by można o Rococo.

Styl neoklasyczny, nawiązując do Renesansu, dziedziczy jego cechy, jest jednak często pozbawiony odrodzeniowej spontaniczności. Przez swoją powściągliwość i logiczność sprzyjać może jednak pewnemu rodzajowi chłodnej pobożności.

Ze schyłkiem Neoklasycyzmu w dziedzinie architektury nastąpił okres nieładu i pomyłek, charakteryzujący się pasją do bezmyślnego imitowania stylów historycznych, ze szczególnym upodobaniem Gotyku. Okres ten, wyjątkowo jałowy także



Projekt kościoła w Rio de Janeiro



Kościół św. Józefa w Wiedniu

w dziedzinie budownictwa sakralnego, odznaczył się stworzeniem wielu świątyń nie sprzyjających modlitwie i reakcję przeciw niemu w następnym okresie należy uznać za zjawisko zdrowe i naturalne. Reakcję tę nazwano architekturą nowoczesną.

Problem nowoczesności w architekturze wywołuje wiele zastrzeżeń i nieporozumień. „Nowoczesność“ jest bowiem terminem szczególnie nieścisłym i bałamutnym. Nic sobą nie określając ma właściwie charakter czysto negatywny („nowoczesny“ znaczy tylko „inny od dawnego“) a przy tym nietrwały: budowle nazywane nowoczesnymi w latach dwudziestych rażą dziś swoją, rzec by się chciało, staroświeckością, w przeciwieństwie do świątyń gotyckich czy renesansowych pałaców. Nowoczesność jest terminem zastępczym, gdy brak jeszcze nazwy dla stylu lub brak stylu samego. Rozsądniejsi i bardziej umiarkowani obrońcy „nowoczesności“ wysuwają argument, że żyjemy w okresie kształtowania się nowych form, w okresie prób i poszukiwań, co pociąga za sobą z konieczności wielką ilość pomyłek (w tym duchu wypowiadali się w „Tygodniku Powszechnym“ dwaj autorzy omawiający wyniki konkursu na kościół parafialny w Nowej Hucie, ks. Jan Popiel i Tadeusz Żychiewicz). Jednym słowem nawołują do cierpliwości. Argumenty ich jednak nie wydają się przekonywujące. Każdy ze stylów w architekturze (czy sztuce w ogóle) miał swój okres formowania się, ale zabytki z okresów przejściowych wcale nie wydają się być pośledniejsze od tych budowli, które powstawały w rozkwicie danego stylu, a już na pewno nie rażą natrętną brzydotą, która cechuje wiele „zabytków“ okresu międzywojennego.

Sztukę dawną cechowały bowiem, obok wielkości, umiar i pokora. Negatywny, tylko zaprzeczający, charakter części sztuki nowoczesnej ujawnia się między innymi w skłonności do dziwactwa, które w okresie ostatnich lat pięćdziesięciu dochodziło do takich rekordów jak nie ukończony kościół Świętej Rodziny w Barcelonie, projektowany przez Gaudi'ego.

Przy wszystkich zastrzeżeniach do nowoczesnej architektury sakralnej, nie można odmówić jej jednego: niezbędności. Niewolnicze wracanie do form historycznych sprowadza się do imitatorstwa i eklektyzmu, którego opłakane skutki oglądać można w sztuce secesyjnej. Szczególnie jaskrawym jej przykładem jest okres wiktoriański w Anglii. Brzydota i ubóstwo tępych brył z lat dwudziestych i trzydziestych była tylko naturalną reakcją na małomieszczańskie zamiłowanie do taniej dekoracyjności secesji. Okres powojenny odznacza się skłonnością do rozwiązań mniej oczywistych, mniej surowych.

Niestety, istnieje często zbyt wielka dla architektów pokusa czerpania wzorów z budownictwa świeckiego. Gdy w poprzednich okresach styl architektoniczny tworzył się właśnie w budownictwie sakralnym, i był adoptowany do konstrukcji świeckich, dziś sytuacja się odwróciła: hangar, dworzec, czy kamienica są właściwym i codziennym zainteresowaniem architekta, który przenosi swe laickie doświadczenia w dziedzinę budownictwa religijnego. Szczególnie dobrych na to przykładów dostarcza architektura protestancka, jak np. kościoły w Zurichu — Alstetten lub w Bazylei. W Ameryce Południowej, szczególnie w Brazylii, daje się odczuć odziedziczona po hiszpańskich przodkach skłonność do przesady, dziwactwa. Słynna kaplica św. Franciszka z Asyżu w Pampulha, czy projekt kościoła w Rio de Janeiro są dobrym tego przykładem. Trudno im odmówić dziwacznego uroku. Być może nawet, że urok ten wyraża pewien rodzaj uczuć religijnych. Niewiele jednak te uczucia mają wspólnego z tradycją katolicką. Szczególnie kaplica św. Franciszka stanowi przykład tendencji mocnych w grupie budowli sakralnych o charakterze na wskroś eksperymentalnym — do troski o pomnikowość (być może nawet dobrze zrozumianą, bo dziwność Boga jest cechą równie godną podziwu co Jego wszechmoc), z pewnym lekceważeniem użytkowości. O ile można sądzić z fotografii makiet prac konkursowych na kościół w Nowej Hucie, podobne skłonności nurtują eksperymentalną architekturę sakralną w Kraju.

* * *

U podstaw formującego się, ale jeszcze nie sformowanego, stylu „nowoczesnego“ w architekturze sakralnej leży działalność i troska Piusa X. Kładąc ogromny nacisk na uaktywnienie wiernych i zmniejszenie dystansu między nimi a kapłanami, wpłynął decydująco na sformułowanie założeń teoretycznych nowej architektury sakralnej, choć sam nie doczekał się praktycznej realizacji budowli, które — być może — nie odpowiadałyby jego marzeniom i życzeniom.

Interpretując po swojemu papieskie wskazania architekci Francji, Niemiec i Szwajcarii wypracowali typ kościoła na ogół małego (ilustracja), jednonawowego, w miarę możności pozbawionego kolumn (aby umożliwić wiernym dobrą widoczność, bliskość ołtarza i branie bezpośredniego udziału w Mszy św.), z głównym akcentem położonym na ołtarz, którego rolę podkreślono umieszczeniem go na podwyższeniu, oświetleniem intensywniej niż reszta wnętrza, wreszcie samym planem kompozycyjnym budowli (ilustracja).

Reakcją na źle zrozumianą dekoracyjność kościołów XIX wieku, która w opinii zwolenników nowoczesności przeszkadzać miała skupieniu rozpraszając uwagę, była surowa prostota i pustka, dla bardzo wielu wiernych rażąca i odpychająca. Ostatnio daje się odczuwać tendencję do złagodzenia tej surowości, zarówno przez użycie witraży (często zupełnie abstrakcyjnych) dostarczających zróżnicowanego — co do koloru i nasilenia światła, jak też przez pewne upłynnienie



Wnętrze kościoła św. Teodora w Littau

linii, uwzględnienie ludzkiej tęsknoty do intymności w modlitwie oraz wprowadzenie większej ilości malowideł i rzeźb.

Nowy styl w architekturze sakralnej nie skrystalizowany jeszcze, ani nawet nie mający nazwy, jest niewątpliwie potrzebny i wysiłki twórcze, nawet nie uwieńczone najświetniejszymi rezultatami, godne są szacunku i poparcia. Należy jednak pamiętać o kilku zasadach, którymi z powodzeniem kierowała się architektura kościelna w ciągu dwóch niemal tysięcy lat i których aktualność do dziś chyba nie osłabła.

Cechą Kościoła jest dziwność, ale nie dziwaczność. Sztuka i architektura sakralna powinny to odzwierciadlać. Świątynia musi być rozpoznawalna, musi się różnić od otoczenia, nie może przypominać fabryki czy dworca. Nie powinna jednak razić i śmieszyć swoją dziwacznością.

Każdy z wielkich ruchów duchowych, jakimi są religie, musi tworzyć i zawsze tworzył, swój własny styl architektoniczny. Świątynia katolicka nie może więc być takim czy innym kościołem, ale właśnie kościołem katolickim i jej katolickość powinna być łatwa do rozpoznania.

Wreszcie, niezbędne jest zachowywanie ciągłości. Unikając naśladownictwa nie można zrywać z tradycją. Szczególnie architekturze służącej Kościołowi nie wolno o tym zapominać. Cel, któremu ta architektura ma służyć, jest niezmienny i sens jego tkwi właśnie w tej niezmienności. Przy tym nie należy zapominać o wiernych, którzy mają się w świątyni modlić. Trzeba pamiętać o ich upodobaniach, nawykach, nawet o braku estetycznej elastyczności. Kościół, będąc domem Bożym, przeznaczony jest także dla ludzi.

Mieczysław Paszkiewicz

Z BOGIEM CZY BEZ BOGA?

(Młodzież węgierska pod rządami komunistów)

Autor artykułu jest Węgrem, katolikiem, z wykształceniem uniwersyteckim, który przebywał na Węgrzech pod okupacją komunistyczną, pracując w wolnym zawodzie. Brał udział w powstaniu i musiał uchodzić zagranicę po jego upadku.

Ze względu na rodzinę nie ujawnia nazwiska, które jest znane redakcji.

Aldous Huxley pisał niegdyś, że w epoce współczesnej powstanie ludności przeciwko tyrańskiemu rządowi nie jest możliwe, bo niepodobna jest walczyć z czołgami i samolotami. Dlatego dyktatura mniejszości może dzisiaj trwać w oparciu o przemoc nowoczesnych broni.

Powstanie węgierskie wykazało, że to twierdzenie jest słuszne, tylko w ograniczonym wymiarze czasu. Na daleką metę los państwa rządzonego systemem totalnym zależy od duchowej postawy ludności, od duchowego dynamizmu jednostek, z których składa się społeczeństwo. Głównym czynnikiem staje się czynnik niematerialny. Każdy mógł się przekonać na przykładzie Węgier, że czołg może strzelać do ludności, ale może również strzelać do tyranów w odpowiedniej chwili historycznej.

Konflikty naszego stulecia są przede wszystkim konfliktami duchowymi. Komuniści są świadomi tego faktu. Zdają sobie sprawę, że jeżeli nie potrafią zmienić przekonań ludzi — to przegrają.

Kultura europejska — „problem Fausta" — jest kulturą chrześcijańską. Wierzymy w Boga, myślimy samodzielnie, szukamy bez ograniczenia prawdy samej dla siebie. Człowiek o takiej mentalności jest naturalnym przeciwnikiem każdego materializmu, narzuconej ortodoksji i despotyzmu. Komunizm uderza w dwa zasadnicze czynniki życia ducha: w religię i w niezależne myślenie.

Komuniści wiedzą, że nie potrafią przerobić gruntownie dorosłych, ale ufają, że uda im się to z młodzieżą. Gdy po wojnie sowiecki terror ujarzmił Węgry, „sowieccy ludzie" objęli rządy, by w imieniu Moskwy zmieść „burżujską ideologię" i dokonać „re-edukacji" narodu, a przede wszystkim młodzieży. Starali się stosować — we wszystkim — sowieckie metody.

Jaki jest wpływ sowieckiej kolonizacji na młodzież? Czy udało się wychować „nowy typ człowieka"?

W każdym społeczeństwie duchowe i moralne wychowanie dzieci dokonuje się w trzech kręgach: rodziny, szkoły i Kościoła.

Życie rodzinne w dawnym znaczeniu tego słowa nie istnieje w krajach pod panowaniem komunistycznym. Na skutek niezmiernie niskich płac matka musi opuszczać dom i pracować, bo jedna płaca nie wystarcza. Matki, idąc rano do pracy, oddają dzieci do publicznych ochronek i odbierają je dopiero wieczorem. Rozmawiałem z matkami, które skarżyły się z rozpaczą, że ich dziecko jest bardziej przywiązane do ochronki niż do matki. Rodzice są przepracowani, zdenerwowani, przygnębieni i nie mogą zająć się należycie wychowaniem dzieci. Tracą nad nimi wpływ.

W każdej rodzinie staje problem: jak doprowadzić dziecko do momentu, gdy będzie na tyle roztropne, by nie zdradzić przekonań rodziców w szkole czy na ulicy. Rodzice musieli albo udawać, że są komunistami, zanim dzieci doszły do wieku lat 9 — 10, albo ryzykować mówienie prawdy. W pierwszym przypadku nie mogli uczyć dziecka pacierza, wiary w Boga; musieli słuchać ze spokojem jak dziecko powtarzało oficjalną tezę o wyzwoleniu ojczyzny przez „bohaterską armię radziecką". W drugim — mówili prawdę, przestrzegając dzieci, by nie powtarzały poza domem co w domu słyszą, bo „ojciec straci pracę, albo będzie aresztowany". Przeważna liczba rodzin nie chciała się godzić, by dzieci rosły jako poddani komunistycznego państwa i obcy wobec domu, i wybierała drugie rozwiązanie.

Stąd, pierwszym wrażeniem dziecka o świecie zewnętrznym była świadomość, że państwo i społeczeństwo są wrogami rodziny, że nakazem jest nieufność do wszystkich poza kręgiem rodzinnym. Podwójny świat i podwójna moralność. Co jest prawdą w szkole, nie jest nią w domu. W domu kłamać nie wolno, ale wszędzie gdzie indziej kłamać trzeba.

Dzieci widzą sprzeczność między propagandą komunistyczną, wielbiącą szczęście kraju, a nieludzką egzystencją w rzeczywistości. Slogany głoszą chwałę pracy, pierwszeństwo produkcji, a dzieci widzą, że wszyscy nienawidzą systemu współzawodnictwa pracy. Propaganda mówi o wolności w kraju nowoczesnego niewolnictwa, gdzie nikt nie śmie swobodnie mówić, pisać czy telefonować, gdzie kupowanie prasy zagranicznej, niekomunistycznej, czy słuchanie zachodnich radiostacji jest zakazane, albo niewskazane, gdzie budowano więcej więzień niż domów mieszkalnych, gdzie rodzina drży o los bliskich, jeżeli nie wracają do domu w zwykłym czasie, gdzie rośnie liczba schorzeń nerwowych, bo ludzie nie wytrzymują napięcia, strachu i upokorzeń.

W duszach dzieci powstaje wcześnie pęknięcie. Przestają być prawdziwymi dziećmi; widzą, że życie jest pełne niebezpieczeństw, że ludzie są źli. Dzieci zaczynają żyć życiem rozszczepionym.

Marksistowskie ujęcie nauki opiera się na dwóch głównych założeniach. Z jednej strony marksiści przeczą, że celem nauki jest poszukiwanie prawdy, co było zawsze podstawową cechą europejskiego myślenia; nauka musi pozostawać w ścisłym związku z życiem praktycznym. Z drugiej strony — marksiści nie uznają nauki opartej na logice czystej; nauka musi pozostawać w ścisłym związku z polityką; musi być „partyjna".

W rezultacie oświata w szkołach musi być materialistyczna, utylitarna i upolityczniona. Sensem moralnym oświaty jest budzenie entuzjazmu dla partii i Związku Sowieckiego, niedawno jeszcze dla Stalina, oraz nienawiści wobec ludzi, którzy nie należą do klasy robotniczej, wobec świata zachodniego, nienawiści wobec religii.

W szkołach i uniwersytetach eliminuje się lub ogranicza przedmioty humanistyczne i zastępuje naukami ścisłymi, przyrodniczymi i politycznymi. Uczelnie przestają wyrabiać niezależne myślenie. Absolwenci wchodzą w życie bez podstaw kultury ogólnej a jedynie ze swoją specjalizacją. Jednostki przeciętne, ale „wierne w stosunku do partii", zastępowały dawnych wykładowców.

Istnieje nadal dyskryminacja klasowa. Ocena postępów uwzględnia uprzywilejowane położenie dzieci i młodzieży z klasy robotniczej. Do niedawna uczeń pochodzący z tej klasy nie mógł przepaść przy egzaminach. Partia kontrolowała system szkolny; dwie selekcje z zastosowaniem dyskryminacji przesiewały uczniów: w wieku lat 14 przy przejściu na wyższy szczebel w szkolnictwie średnim, w wieku lat 18 przy zapisach na uniwersytet. Dzieci i młodzież odczuwały głęboko niesprawiedliwość systemu; jest on równie nienawistny dla uczniów jak dla wykładowców.

Podręczniki są przesiąknięte ideologią partyjną i pochlebstwami pod adresem Związku Sowieckiego. Jedynym językiem cudzoziemskim uczonym w szkołach był język rosyjski. Marksizm-leninizm i historia sowieckiej partii komunistycznej były głównymi przedmiotami w szkole i na wyższej uczelni.

Dzieci od wieku lat 8 — 9 musiały obowiązkowo pisać artykuły do ściennych gazetek, brać udział w manifestacjach publicznych. Udział w pionierskim ruchu komunistycznym szkolił je w „prawdziwym życiu społecznym". Ruch harcerski i inne organizacje młodzieżowe są zakazane.

Jeżeli młodzież chce się rozerwać, ma dostęp ułatwiony do książki, filmu, teatru — „partyjnych". Jak przystało na sowiecką kolonię, najobfitsze są książki, filmy i sztuki tłumaczone z rosyjskiego.

Trzecim kręgiem jest religia. Węgry są krajem o większo-

(Dokończenie na str. 18)

CZECH—PRZYJACIEL POLSKI

Napisał **EDWARD RACZYŃSKI**



Zmarły 7. 12. 1957 w Londynie czechosłowacki mąż stanu urodził się w r. 1895 w Kobierzycach na Morawach; uzyskał tytuł doktora fiozofii na uniwersytecie karolińskim w Pradze. Walczył o niepodległość ojczyzny; działał w organizacjach demokratycznych, w stronnictwie narodowych socjalistów. Polityk-dziennikarz, był redaktorem pism „Prerod", „Le monde slave", „Narodne osvobozenie", „Lidove Noviny". Wydał książki: „Boj za ceskoslovenskou svobodu 1914-1918" (1928), „Le millenium de St. Wenceslas" (1930), „La Yougoslavie contemporaine" (1933), „Patnact let ceskoslovenske demokracie" (1933), „Les problèmes de l'Europe centrale" 11935), „T. G. Masaryk tvurce Ceskoslovenska, prukopnikem nove Evropy" (1936). Poszedł na wygnanie jako przeciwnik kapitulacji monachijskiej; napisał „Munich before and after". Był ministrem w rządzie wygnańczym, potem w Pradze do roku 1948, gdy zaczął powtórne wygnanie. Jego prace z tego okresu: „S Vychodem i Zapadem", „Ceskoslovensko v nove Evrope", „Le coup de Prague. Une révolution préfabriquée", „Czechoslovakia enslaved: the story of the communist coup d'état", „A Federation of Central Europe". — Ostatnie wystąpienia poświęcił sprawie neutralizacji jako następnego etapu na drodze do wolności naszych krajów.

Śmierć Huberta Ripki jest ciosem dla jego przyjaciół, kolegów i współtowarzyszy na polu pracy politycznej. Odczuwać będą jego rodacy na emigracji, a także i w kraju poddanym komunistycznej przemocy, brak jego jasnej myśli i przewidującej inicjatywy. Brak ten odczują także polityczni uchodźcy z innych krajów. Ubył z naszego grona człowiek dużej miary z liczby tych, których znaczenie jest niezależne od zajmowanego stanowiska, bo ma swoje źródło w zaletach umysłu i charakteru. Takim ludziom przede wszystkim zawdzięczają społeczeństwa wytyczanie ich drogi ku przyszłości. Wierzę, że i praca Ripki, choć przerwana przez tragiczny bieg wypadków, choć zakończona przedwcześnie, pozostawi trwały ślad zarówno w Czechosłowacji jak i w Polsce i przybliży dzień zbratania naszych narodów.

Ripkę poznałem pod koniec roku 1939 w Londynie po pierwszych klęskach, które na nas spadły, kiedy rząd polski przebywał jeszcze w Anger, a rząd czechosłowacki, odtworzony na obczyźnie dzięki staraniom Prezydenta Benesza, nie był jeszcze w pełni uznany przez mocarstwa zachodnie. Wiedziałem, że był on przed wojną w Pradze jednym z najwybitniejszych dziennikarzy politycznych i członkiem stronnictwa narodowych socjalistów, z których wywodził się Benesz. Wiedziałem, że miał reputację „prawej ręki" tego ostatniego. Dawało mu to stanowisko wpływowe w ośrodku dyspozycyjnym czeskiej politycznej emigracji, choć nie chroniło przed ostrą krytyką opozycji.

Większość naszej opinii publicznej na obczyźnie i w Kraju pragnęła puszczenia w niepamięć sporów z Czechami i połączenia obu krajów związkiem trwałym i możliwie ścisłym. Pragnienie to podzielałem. W rozmowach londyńskich ze strony czechosłowackiej, poza Prezydentem Beneszem, występowali pp. Slavik i Ripka, przede wszystkim ten ostatni. Włożył on wówczas w posunięcie naprzód tego zamysłu zapał i wyobraźnię, której miał tak wiele, a zarazem umiejętność praktyczną i poczucie rzeczywistości, które go nigdy nie opuszczało. Wspólna deklaracja z 11 listopada 1940 r., stanowiąca pactum de contrahendo w przedmiocie przyszłego związku obu państw, ukoronowała wówczas naszą bliską i owocną współpracę.

Presja sowiecka udaremniła dzieło podjęte na miarę historyczną, doniosłe, dobroczynne dla obu kontrahentów. Uległ jej Benesz, który tym ustępstwem i następnymi utorował sobie i swemu rządowi powrót do Pragi, powrót niefortunny, zakończony niechlubną porażką i rychłą śmiercią.

Ripka w ostatnim smutnym okresie odsunął się od prezydenta, któremu zarzucał brak oporu wobec nacisku komunistów i niezdolność do zorganizowania obrony demokratycznego ustroju. Po komunistycznym przewrocie ukrywał się z dala od Pragi i przy pomocy francuskiej zdołał opuścić Czechosłowację. Przebywał potem w Paryżu, Stanach Zjednoczonych, wreszcie w Londynie, gdzie życie zakończył.

Ostatnie lata życia wypełnił Ripka wytężoną pracą. Oderwany od warsztatu, przy którym we własnym kraju rozstrzygał, a często improwizować musiał załatwianie tylu spraw bieżących, poświęcił się na emigracji przemyśleniu zasadniczych zagadnień i przygotowaniu ich rozwiązania. Owocem jego studiów i rozważań były odczyty i artykuły, z których kilka ogłosił także na łamach polskich pism emigracyjnych, a przede wszystkim książka poświęcona związkowi krajów Europy środkowo-wschodniej, „A Federation of Central Europe", New York, 1953. Jest to jak dotąd najgruntowniej opracowany i najkonkretniej ujęty plan zespolenia w drodze konstytucyjnej zasobów i energii narodów zamieszkujących nasz rejon Europy. Ripka nie znalazł nakładcy dla swego dzieła i wydał je sam. Rozeszło się szeroko i przyczyniło do zapoznania opinii politycznej w krajach zachodnich z koncepcją poruszaną wciąż jeszcze przeważnie tylko w gronie zainteresowanych i to z różnych względów raczej nieśmiało i jakby wstydliwie.

Warto przypomnieć niektóre myśli zmarłego polityka:

„...S'unir ou périr — oto nieuchronny dylemat, który stoi przed narodami Europy Środkowo-Wschodniej..."

„...Co przepowiadał Bismarck, Hitler i Stalin potwierdzili w pełni: kto jest panem obszaru między Niemcami i Rosją, stać się może panem Europy."

„...W najbliższej przyszłości powstawanie mniejszych geograficznie wspólnot jest realniejszym założeniem... — Jeżeli zjednoczona Europa nie będzie zbudowana na systemie równowagi i kontroli, przed mocnym partnerem stawać będzie pokusa narzucenia swej przewagi partnerom słabszym. Jednym z zabezpieczeń... będzie federalny związek mniejszych narodów Środkowej Europy w ramach Europy zjednoczonej..."

„Trudno jest sobie wyobrazić, jakim innym sposobem niż przez wspólny związek (federalny, regionalny) będą mogły mniejsze narody zrównoważyć potencjał niemiecki w zjednoczonej Europie, oraz jak inaczej będą one mogły zabezpieczyć się przed komplikacjami grożącymi im od Wschodu..."

„...Europa potrzebuje nie tylko Polski silnej, ale Polski włączonej organicznie w strukturę europejską... — Federacja regionalna Europy Środkowo - Wschodniej potrzebuje uczestnictwa bezpośredniego Polski, a także Austrii..."

„...Powstanie jednej regionalnej federacji ośmiu krajów w Europie Środkowej i Wschodniej jest słusznym i najlepszym rozwiązaniem; wszystkie wysiłki powinny być skierowane ku temu celowi..."

„...Nic by nie zagroziło bardziej celom federalnym, nie tylko w Europie Środkowo-Wschodniej, ale i w całej Europie, niż zignorowanie idei narodowej, tradycji historycznej, różnolitych wartości kulturalnych i społecznych. Wielkość i siła twórcza cywilizacji europejskiej nie opierała się ani opiera na jednostajności, ale odwrotnie płynie z różnolitości struktur oraz duchowych, społecznych i politycznych przedsięwzięć... — Federaliści powinni dążyć do integracji idei narodowych, nie do ich zniszczenia..."

„...Organiczna integracja europejskich nacjonalizmów może być najskuteczniej dokonana w systemie mieszanym „ponadnarodowych" i „międzypaństwowych" instytucji..."

„...Nie wierzę, żeby można było skutecznie walczyć z komunizmem w imię odbudowania „ancien régime'u"... Trzeba przygotowywać ustrój — zarówno wewnętrzny w naszych krajach jak i w odniesieniu do ich wzajemnych stosunków — lepszy politycznie i społecznie niż obecny ustrój komunistyczny, a także lepszy, jeżeli chodzi o ład międzynarodowy i wewnętrzne rozwiązania ustrojowe niż w okresie przed II wojną światową."

Do przyjaciół Polaków zwracał się w pamiętnym artykule **„O federację polsko-czeską"** („Kultura", 1952, 12/62), zawierającym szczerą i wnikliwą analizę „różnic psychologicznych, historycznych, religijnych, struktury społecznej...", oraz wytyczne **„polityki pozytywnej"**:

„...Tragiczne doświadczenia, przez które przechodzą Czechosłowacja i Polska od lat... są najmocniejszym argumentem za najściślejszym połączeniem obu państw po wyzwoleniu..."

„...Dawna przepaść między polską „arystokracją" a czechosłowacką „demokracją" w dzisiejszym stanie rozwojowym została usunięta... Do polsko-czechosłowackiego wzajemnego porozumienia pomogą katolicy, którzy, występując przeciwko uciskowi komunistycznemu, zapewniają sobie w przyszłości wielką rolę (w przeszłości nie było zbyt wiele kontaktów między katolikami polskimi, czeskimi czy też słowackimi; a jeśli nawet i były nie miały one większego znaczenia)..."

„...wyzwolenie narodów środkowo - europejskich jest podstawowym warunkèm przywrócenia, jeśli nie pokoju światowego, to przynajmniej bardziej ustabilizowanych warunków politycznych i gospodarczych dla Europy..."

„...tylko plan konstruktywny, zmierzający do współpracy federalnej tych narodów (regionu Europy Środkowo - Wschodniej) będzie mógł skutecznie przeciwstawić się zatargom mocarstw o zabezpieczenie dla siebie „stref wpływów" w tej części Europy..."

„...O ile Czechosłowacy i Polacy dojdą do porozumienia na tle najściślejszej współpracy ze sobą, przez to samo już będą mogli odegrać pionierską rolę w federacji całej Europy środkowej..."

„...W każdym jednak wypadku, czy powstanie federacja ogólno-europejska, czy jedynie związki regionalne, a nawet (ewentualność ta byłaby godna pożałowania), gdyby Europa, a z nią i Europa środkowa nawiązały do dawnego systemu państw suwerennych — obowiązkiem Polaków i Czechosłowaków jest wiernie iść razem, wzajemnie sobie pomagać i doradzać... Osłabienie jednych jest ze szkodą dla drugich; co jednych wzmacnia, jest z korzyścią także dla drugich. Silny związek czechosłowacko-polski leży w żywotnym interesie obu narodów; ponadto zaś leży w interesie całej Europy."

Jego pośmiertną spuścizną będzie książka poświęcona historii politycznej Europy Środkowo-Wschodniej w ostatnim okresie, problematyce wyzwolenia i przyszłej organizacji (w przygotowaniu do wydania przez Międzynarodówkę Liberalną).

Na emigracji był Ripka czynny wszędzie tam, gdzie mógł służyć interesom swego kraju: w czechosłowackich emigracyjnych organach politycznych, w komitetach i komisjach po obu stronach Atlantyku, zajmujących się sprawami Europy wschodniej. Był nieraz konsultowany przez organy strasburskiej Rady Europejskiej.

Ripce nie brakło wrogów; człowiek tak zaangażowany politycznie uniknąć ich nie może. Miał przeciwników i krytyków wśród swoich ziomków, gdzie — jak to bywa niestety powszechnie w warunkach emigracyjnych — spory polityczne zyskały na ostrości. Był on nade wszystko celem częstych napaści ze strony niektórych czynników niemieckich, które odnosiły się do niego wrogo, przypisując mu kierowniczą rolę w usuwaniu Niemców sudeckich z Czechosłowacji po roku 1945.

Ripka, na wymierzone przeciw niemu napaści, reagował wtedy tylko, kiedy to uważał za konieczne w obronie swego dobrego imienia i dobrego imienia swego kraju. Czynił to wówczas mocno i skutecznie (broszura „J'accuse"). Wolał jednak krytykom przeciwstawiać twórczą myśl i kierować zainteresowania ku zagadnieniom konkretnym. Umiał wreszcie żartować i znał różnicę między sprawami ważnymi a drobnostkami.

Tracę w nim osobistego przyjaciela, z którym wiązało mnie wiele wspólnych prac i doświadczeń, którego ceniłem za rozum i szanowałem za charakter.

Edward Raczyński

NIEMCY NA ROZSTAJU

Wątpliwości i obawy. Coraz bardziej utwierdza się w kołach niemieckich opinia, że polityka zagraniczna NRF znalazła się w ślepym zaułku. Celem tej polityki musi być zjednoczenie Niemiec przy zachowaniu wolnego ustroju demokratycznego. Nadzieje, łączone z „polityką siły" i systemem sojuszu atlantyckiego dotychczas się nie ziściły i w obliczu wydarzeń ostatnich trzech miesięcy mnożą się w Niemczech powątpiewania co do celowości i skuteczności dalszego kroczenia po dotychczasowej drodze. Szerzy się także obawa, by kontynuowanie dotychczasowej polityki nie wciągnęło Niemiec do wojny. A społeczeństwo niemieckie nie chce wojny, boi się jej.

Politykę zagraniczną dr. Adenauera zwalczają socjaldemokraci. Ale ich projekt wyrażał się przede wszystkim w negacji koncepcji rządowych i nie zawierał wyraźniejszych sformułowań pozytywnych. Dopiero wystąpienie Kennana (częściowo też Gaitskella i Bevana) nadały alternatywie socjalistycznej wyraźniejszy profil i w połączeniu z projektem wyodrębnienia regionu środkowo - europejskiego (Niemcy, Polska, Węgry i Czechy) otworzyły ich zdaniem realniejsze perspektywy dla odzyskania zjednoczenia. Z tego też powodu plan ministra Rapackiego spotkał się w kołach niemieckiej socjaldemokracji z życzliwym przyjęciem.

Projekt socjalistyczny nie jest jedyną alternatywą polityki rządowej. Od dawna pokutuje w pewnych kołach NRF wyraźna orientacja wschodnia, koncepcja bezpośredniego porozumienia się z Rosją, bez oglądania się na Amerykę i innych partnerów Paktu Atlantyckiego. Podobno niektórzy rzecznicy tego nowego porozumienia „Rapallowskiego", które dokonać musiałoby się kosztem interesów polskich, spodziewają się w związku z tym w odpowiednim momencie wspaniałomyślnej oferty sowieckiej w postaci... poświęcenia przez Sowiety granicy na Odrze i Nysie.

Wyraźnie „wschodnia" alternatywa nie została jeszcze przez nikogo oficjalnie wysunięta, ale pokutuje dziś bardziej aniżeli kiedykolwiek w mózgu niejednego polityka czy publicysty niemieckiego. Gdyby koncepcja atlantycka uległa dalszej dewaluacji i gdyby Rosja zdradziła gotowość do „ustępstw", pochlebiających niemieckim ambicjom nacjonalistycznym, natenczas obóz orientacji wschodniej w NRF nabrać może bardzo szybko poważnego i niebezpiecznego znaczenia.

POLITYKA WATYKANU

W grudniowym numerze „La Revue de Paris" znajdujemy artykuł Włodzimierza d'Ormesson o „Polityce Watykanu". Długoletni i znakomity ambasador Francji przy Stolicy Apostolskiej stawia na wstępie pytanie: co oznacza to, niekiedy z przekąsem używane, określenie.

„Czy pragnie się w nim wyrazić to, że Stolica Święta zachowuje pewną linię wytyczną dla wspierania i obrony sobie powierzonych wartości i interesów, a więc spraw wiary chrześcijańskiej i Kościoła katolickiego? W tym wypadku niewątpliwie Stolica Apostolska ma swoją politykę. Jakżeż bowiem mogłoby być inaczej? Czyż polityka nie jest sztuką sterowania pośród trudności?

Ilekroć jednak mówi się o „polityce watykańskiej", robi się aluzję do czegoś innego. Pragnie się w ten sposób wyrazić, iż Kościół postępuje według pewnej linii wytycznej związanej nie tylko z jego właściwym celem, ale odpowiadającej względom innego rodzaju. Chodziłoby zatem nie o politykę „naturalną", lecz o — że tak powiem — „politykę polityczną". Ta zaś obejmowałaby płaszczyznę znacznie bardziej rozległą i ambitną. Nie wyrażałaby ona uzasadnionej troski o obronę, ulegałaby instynktowi panowania, i to panowania raczej „świeckiego", niż „duchowego". Byłby to więc rodzaj imperializmu Stolicy Świętej, do którego się ona nie przyznaje, a który zmierzałby do powrotu do tych czasów, kiedy to papiestwo tworzyło (lecz czy kiedykolwiek tworzyło?) klucz w sklepieniu rozległego imperium."

W. d'Ormesson określa, czym jest prawdziwa polityka Watykanu:

„Trzy zasadnicze troski przenikają całą działalność Watykanu, zwaną jego polityką:

1. Obrona pozycji Kościoła wszędzie tam, gdzie one istnieją. Ochrona i obrona wszelkich wolności, praw i interesów katolickich tam zwłaszcza, gdzie są one zagrożone, narażone na szwank lub gwałcone;

2. Niesienie wysoko w całym świecie zasad ideału chrześcijańskiego;

3. Utwierdzenie panowania pokoju na fundamentach zgody między ludźmi i między narodami, lecz zawsze na płaszczyźnie duchowej i trzymając się na uboczu od materialnych i przejściowych rywalizacji ludzkich.

Te trzy posłannictwa wydają się łatwe do spełnienia, tak są przecież słuszne. W rzeczywistości jednak ich realizacja jest o wiele trudniejsza niż się przypuszcza. I to nie tylko dlatego, że żyjemy w epoce tak pełnej namiętności, lecz dlatego, że płaszczyzny działania Stolicy Świętej i państw rozsianych na całym globie nie są te same. Podkreślenie tej różnicy jest ważne, gdyż jest ona — moim zdaniem — jedną z najczęściej występujących przyczyn błędnych opinii, jakie się czasem wydaje, oraz wynikających z nich nieporozumień.

Kościół jest uniwersalny i transcendentny.*) Wiara, której strzeże i nauka, którą szerzy, są niezmienne od dwudziestu wieków i takimi pozostaną. Już to stwierdzenie wystarczy, aby zaznaczyć różnicę zachodzącą pomiędzy działalnością Kościoła, a działalnością doczesnych państw. Nie ma tu analogii ani płaszczyzny działania, ani jego rodzaju, ani okresu czasowego. Jeśli język jest czasem podobny, to zamysły, jakie on wyraża, nie mogą być te same. Państwa, które z konieczności kierują się swym własnym interesem, zawsze będą miały trudności w zrozumieniu transcendentnej postawy Stolicy Świętej. Ona zaś jakkolwiek by się starała w miarę możliwości godzić swe zasady transcendentne z szczegółowymi przypadkami, nigdy i nikogo nie zdoła w pełni zadowolić. Inaczej mówiąc, Stolica Święta wzdraga się przed powzięciem, w pewnych okolicznościach, decyzji rozstrzygających — co napawa zdziwieniem, a nieraz i nastawia niechętnie do niej — to dlatego, że nie rozcina ona zagadnień tak jak my zwykliśmy je rozstrzygać. „Polityka Watykanu" będzie więc wymykała się każdemu, kto chciałby ją uchwycić lub myślałby, że ją już pojął. Pozostanie ona zawsze jeszcze niezrozumiała dla tych, którzy ją mierzą logiką doczesną. Zawiedzie ona, a nawet będzie drażniła, ludzi namiętnych, którzy pozwalają, aby kierowały nimi uczucia osobiste lub wyłącznie narodowe, albo też przelotne wzruszenia. I może właśnie dlatego Watykan najlepiej broni swej transcendentnej pozycji, iż nigdy nikogo w pełni nie zadawala."

„Stolica Święta ma za wiele doświadczenia, by nie wiedzieć, że równie niebezpieczną rzeczą jest sprzeciwiać się naturalnym zabiegom życiowym jak i przyśpieszać je. Roztropność jak i umiarkowanie są w jej oczach cnotami chrześcijańskimi. Wszystko zależy od intencji, jaką się wkłada w te słowa. Jeśli roztropność oznacza niedowład, staje się nieroztropna i szkodliwa. Jeśli umiarkowanie oznacza miernotę, usprawiedliwia ono wybryki. A zatem ani niedowładu, ani wybryków; we wszystkim tu na ziemi trzeba znaleźć „właściwy punkt". Cokolwiek myślą ci, którzy chętnie głoszą, iż Kościół nie powinien uprawiać polityki, a którzy zgodziliby się, aby prowadził ich własną, polityka Watykanu stara się wszędzie ten punkt właściwy osiągnąć i jego się trzymać. Najlepszym dowodem zręczności, jaką okazała Stolica Święta pod tym względem, są doskonałe stosunki, nawiązane z tyloma nowymi narodami. I to pomimo wybuchów nacjonalizmu i ksenofobii, które przeważnie towarzyszyły ruchom wyzwoleńczym."

Tłum. J. Cz.

*) Przez swoje pochodzenie Kościół jest więc Boską społecznością, przez swój cel i środki do niego wiodące jest nadprzyrodzony." (Leon XIII: „Satis Cognitum"). — Jak pisał kardynał Suchard w swym liście pt. „Zmierzch czy rozkwit Kościoła?": „nie chodzi tu tylko o pierwszeństwo, ale o transcendencję istotną. Jedność łącząca wiernych z Bogiem i pomiędzy sobą w Chrystusie i Duchem Świętym jest natury ontologicznej." — Przyp. tłum.

„Dziwne przymierze"

„Osservatore Romano" w styczniu poświęciło artykuły wstępne Kościołowi Milczenia: „Kościół w Polsce" (5.1.), „Wyroki w Budapeszcie" (12.1.), „Obrońcy progressizmu" (19.1.), „Jeszcze o sprawach węgierskich" (25.1.). Artykuł pierwszy jest krytyką korespondencji z Warszawy jednego z włoskich tygodników ilustrowanych, w której omówione są warunki działania katolików w Polsce od października 1956 r. Jak to jest właściwe tego rodzaju publikacjom, korespondencja stara się „wyjawić" tajną historię „dziwnego przymierza" kardynała Wyszyńskiego z Gomułką. Dziennik watykański przypomina historię prześladowania Kościoła w Polsce, uwypuklając okresy od roku 1945 do 1950 i od 1950 do 1953. Zaprzeczeniem zaś „dziwnego przymierza" są wypadki z okresu popaździernikowego: Kościół pełnej wolności nie odzyskał, wobec czego kardynał i episkopat wezwali naród do „heroizmu życia"; „Pax" jest nadal popierany przez rząd; wprowadzane są na nowo utrudnienia w nominacjach kościelnych; lubelskiemu Uniwersytetowi Katolickiemu nie pozwala się na ponowne otwarcie wydziałów prawnego i nauk społecznych; rząd utrzymuje nadal akademię teologiczną na Bielanach; „Caritas" nie został zwrócony Kościołowi; Akcja Katolicka jest zabroniona; Prymasowi, któremu w 1956 roku nie utrudniano pracy kaznodziejskiej, obecnie zabroniono przemawiać przez radio na Boże Narodzenie; na nowo organizuje się działalność ateistów, czego wyrazem jest założenie stowarzyszenia ateistów i wolnomyślicieli, głównie w celu opanowania dusz młodzieży.

Drugi artykuł dotyczy uwag o progressizmie w Polsce w przeglądzie „Comunità". „Comunità" stara się zrehabilitować w nim ruch „Paxu" i przedstawić progressizm jako rodzaj broni sekretnej używanej zręcznie dla obrony wolności religijnych zagrożonych przez reżym komunistyczny. Autor artykułu insynuuje, że Kościół w Polsce w celu ocalenia tego co da się ocalić, posługiwał się i posługuje dwoma „końmi"; jednym progressistowskim, skłonnym do warunkowej i pozornej pojednawczości, drugim integralnym i nieprzejednanym. W okresach największego napięcia, np. między rokiem 1953 a 1956, grupa prowadzona przez Piaseckiego z poparciem rządu mogła spełniać rolę mediacyjną, w istocie dobroczynną dla Kościoła. Gdy zaś komunizm polski był zmuszony do ustępstw, Kościół zaczął posługiwać się drugim koniem. Na nasuwające się pytanie, jak komunizm ustosunkował się do tej gry, autor artykułu jest zdania, że komunizm dał się wprowadzić w błąd, uwierzył i może jeszcze wierzy, że „paxyzm" jest fermentem dywersyjnym w łonie katolicyzmu. I dlatego go poparł. Autor stwierdza dalej, że nagany Episkopatu i samego Świętego Oficjum były „raczej łagodne" i nie miały charakteru teologicznego, lecz dyscyplinarny. Jest też zdania, że „paxyzm" nie pozostaje w niezgodzie z dogmatami Kościoła.

W odpowiedzi „Osservatore Romano" stwierdza, że artykuł pomija zasadniczy punkt, ten mianowicie, że ruch „Paxu" stawia sobie za cel pojednanie w praktyce katolicyzmu z komunizmem, a więc dwóch rzeczywistości nie dających się pogodzić. To był w pierwszym rzędzie cel „Paxu"; nie można więc pomijając go, wysuwać niekórych osiągnięć drugorzędnych i opierając się na nich usprawiedliwiać i rehabilitować „kolaborację" moralną i praktyczną, która pozostaje w niezgodzie z prawami chrześcijaństwa i wiernością Kościołowi.

„Z N A K"

Miesięcznik katolicki „Znak", redagowany przez zespół w osobach: Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefan Swieżawski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Jacek Woźniakowski i Jerzy Zawieyski, po czteroletniej przerwie zaczął się znów ukazywać. W czerwcu 1957 roku wyszedł jego numer 36. W następnych numerach (37/38 i 39) znajdujemy artykuły St. Stommy n. t. „Katolicyzm polski w chwili obecnej" oraz prof. Karola Górskiego n. t. „Geneza religijności polskiej XX wieku".

W 39 numerze „Znaku" otwarła także redakcja swe łamy dla ankiety na temat: **Formacja katolicka dwudziestolecia.** Do końca ub. roku głos w ankiecie zabierali: prof. Marian Plezia, red. Jerzy Turowicz, Maria Morstin-Górska, prof. Karol Górski i prof. Jerzy Kalinowski.

Materiały ankiety zasługują ze wszech miar na uwagę całego polskiego społeczeństwa katolickiego, gdyż dotyczą one jednego z istotnych składników naszej kultury narodowej, a ponadto pozwalają katolikom polskim uświadomić sobie, jakie są polskie tradycje, z których wyrośli i jaśniej zdać sobie sprawę z sytuacji obecnej i celów, jakie mają realizować.

Szczególnie zaś inteligencja katolicka żyjąca dziś poza granicami Kraju ma sposobność do czynienia cennych porównań typu katolicyzmu polskiego z typami katolicyzmu w tych krajach, w których obecnie przebywa, i wyciągania z nich wniosków praktycznych.

W numerze grudniowym ks. Karol Wojtyła pisze „O małżeństwie" w świetle personalizmu; Zygmunt Ławrynowicz z Londynu podaje interesujące informacje o Maksie Jacobie oraz własne tłumaczenie jego „Rad dla studenta"; Maria Władyczanka kreśli sylwetkę Guy de Larigaudie i daje własne tłumaczenie jego „Refleksyj"; Zenon Szpotański pisze o „Racjonalizmie, dekadencji i postępie". W ramach ankiety „Formacja katolicka dwudziestolecia" znajdujemy wypowiedzi prof. Karola Górskiego z Torunia i prof. Jerzego Kalinowskiego z KUL-u. Ks. Romuald Zaniewski z Brukseli omawia obszernie zagadnienie z biologii porównawczej pt. „Mechanizm czy witalizm". O. Albert Krąpiec Z. K. informuje o sławnym francuskim ośrodku studiów tomistycznych, Le Saulchoir. Sekretarz redakcji „Znaku" Stefan Wilkanowicz pisze o „Katolikach w życiu międzynarodowym". Numer ten zawiera też wykaz katolickich organizacyj międzynarodowych.

W rubryce: „Zdarzenia — Książki — Ludzie" szczególnie cenna jest notatka o odbytym w końcu sierpnia ub. roku studium w Lublinie na temat „Roli kobiety w Kościele".

Dla zainteresowanych podajemy iż katolicki miesięcznik „Znak" wychodzi w Krakowie.

RACZEJ PRZECIW NIŻ ZA

„Rozróbki" w grupie **„Za i Przeciw"**, które doprowadziły do jej rozbicia, pozostania **Jana Frankowskiego** przy tygodniku i powstałym wówczas **Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Społecznym, a odejścia Konstantego Łubieńskiego, Andrzeja Micewskiego, Anny Morawskiej** i in., — miały swoiste tło. Choć wydarzenia te rozegrały się kilka miesięcy temu, warto o niektórych szczegółach wspomnieć.

Wczesną jesienią ub. roku, referat **Sztachelskiego** w gronie członków KC PZPR nakreślił wytyczne stosunku partii do Kościoła: partia popełniła błąd taktyczny, atakując Kościół i kler, zamiast religii; społeczeństwo, nie będąc głęboko religijne, jest przywiązane i do obrzędów i do kleru; ataki nań przeciwdziałały postępom indyferentyzmu; partia powinna zaprzestać ograniczania życia kościelnego i atakowania duchowieństwa, a natomiast prowadzić walkę światopoglądową z religią, nie bezpośrednio jednak a za pośrednictwem organizacji ateistycznych; „Pax" jest skompromitowany w oczach społeczeństwa i wobec tego bezuży-

WOLNOMYŚLICIELE

Miałem takiego profesora na uniwersytecie, który wszystkie swoje wysiłki poświęcił z pasją tylko dwom rzeczom: swojej specjalności naukowej i walce z Panem Bogiem. Wśród profesorów uniwersyteckich zdarzają się fenomeny zajadłości ateistycznej. Należy do nich na przykład jeden ze znanych filozofów polskich, prof. Tadeusz Kotarbiński, którego zresztą — nie wiem, czy nie trochę i z tego powodu — rządy obecne w Polsce postawiły na czele osławionej Polskiej Akademii Nauk. Prof. Kotarbiński w najrozmaitszych esejach, broszurkach i zebraniach wypisuje i wypowiada manifesty racjonalistyczne, a ostatnio zaczął pisać popularne wierszyki, w których udowadnia, że Pan Bóg nie istnieje.

Mój profesor, dziś już nie żyjący, dużą część swojej energii życiowej poświęcał również tej wzniosłej działalności, tyle, że nie wypisywał swoich dociekań wierszem. Jak dziś, pamiętam jego chudą i wysoką sylwetkę, wpierającą się w witryny Księgarni św. Wojciecha, aby dojrzeć tytuły książek katolickich i upolować jakąś nową broszurkę, naiwnie napisaną, którą można by złośliwie „zjechać". Gdy taką broszurkę wynalazł, kupował ją natychmiast i on niebawem w „Racjonaliście" lub „Wolnomyślicielu Polskim" pojawiał się profesorski artykuł na temat „katolickiego ciemnogrodu". Wśród ludzi niewierzących jest pewna ilość takich, którzy swojej niewiary nie zachowują dla swoich własnych przemyśleń, ale wirując jak w ukropie, czynią wszystko, aby ją możliwie największej liczbie ludzi narzucić. Czasem wydaje się, że ta ich niespokojna żarliwość ma ich samych przekonać o słuszności własnych poglądów i przygłuszyć wątpliwości.

Od kilkunastu miesięcy ateiści w Polsce zachowują się jak stado oszalałych os. Czasy stalinowskie, cokolwiek by się o nich dało powiedzieć, jedną rzecz załatwiały dobrze, zaspakajały apetyty domorosłych ateistów. Po pewnych ustępstwach Gomułki wobec Kościoła, zwłaszcza w pierwszym okresie po dojściu jego do władzy, ateiści doznali głębokiego niepokoju. Jak to religia w szkole? Ależ to zagraża myśli racjonalistycznej! Na gwałt trzeba przeciwdziałać! Zaczęto zakładać rozmaite związki i stowarzyszenia, a to stowarzyszenie szkoły świeckiej, a to Stowarzyszenie Polskich Ateistów. To ostatnie, po okresie przygotowań, wyłoniło się na jesieni ubiegłego roku na tzw. zjeździe bydgoskim, przy czym podano wówczas do wiadomości, że na terenie całej Polski znajduje się 6.000 zorganizowanych ateistów.

Liczba to, jak na 28 milionów mieszkańców, niewielka. Ale nie jedyni to ateiści w Polsce, choć i tych drugich nie ma zbyt wielu. Tę drugą grupę, obok ateistów „liberałów", stanowią ateiści partyjni, komunistyczni. Ci po październiku przezornie przysiedli, aby wyczekać co się stanie i jak daleko pójdzie Gomułka w ustępstwach na odcinku z Kościołem. Gdy po paru miesiącach okazało się, że nowa administracja wcale się nie wyrzeka założeń komunistycznych w tych sprawach, a ustępstwa traktuje jako przymusowe posunięcia taktyczne, gdy ujawniło się ponadto, że imprezy ateistyczne doznają poparcia i personalnego i finansowego ze strony państwa — ateizm komunistyczny na wszystkich szczeblach maszyny partyjnej ruszył do ataku.

Te dwa strumyczki zaczęły się zlewać w jedno koryto. Nie odbywa się to wszakże bez tarć, a nawet burzliwych kontrowersji. Poszło mianowicie o metodę, jaką należy stosować przy próbie wybicia z głów narodu polskiego wiary i przywiązania do religii. Komuniści radziby sprawę załatwiać krótko i węzłowato.

Ateiści-liberałowie, ludzie bardziej doświadczeni, z większym szlifem i delikatniejsi w chytrości, mocno oponują. Tylko nie przemoc, tylko nie nacisk administracyjny! Popatrzcie, co zdziałała era stalinowska w Polsce: ostatecznie tylko umocniła wiarę, a dając męczenników scementowała naród w więź niezwalczoną. Nie! — dowodzą liberałowie. Taktyka powinna być inna, powolna i podstępna. Należy podcinać poszczególne instytucje katolickie, należy ośmieszać etykę katolicką, trzeba wmawiać w ludzi, że laicyzm jest uniformem człowieka oświeconego, człowieka przyszłości.

Spór ten w kółku przyjaciół toczy się dalej. Jest niewątpliwym świadectwem rozterki w obozie myśli laicystycznej, ale jest również i dowodem na fikcyjność całej sprawy. Bowiem, gdy przychodzi co do czego, nacisk administracyjny jest stosowany, a gdy znów liberałowie przystępują do działania, zapominają o swoim wysokim poziomie i posługują się argumentami z najprymitywniejszych druków ateistycznych poprzedniego stulecia.

Stowarzyszenie Ateistów Polskich wydaje od kilku miesięcy swój oficjalny organ, który nosi bardzo zobowiązujący tytuł, a mianowicie nazwę „Argumenty". Miesięcznik nie przynosi argumentów, natomiast drukuje wiele insynuacji i inwektyw. Aby wyrobić sobie zdanie o poziomie tego pisma, warto przytoczyć parę przykładów. I tak „Argumenty", aby zwalczać Kościół katolicki, dowodzą w jednym ze swych ostatnich numerów, iż system terroru hitlerowskiego zbudowany został na wzorach organizacji katolickich. W innym miejscu autorzy „Argumentów" podają rewelacyjną wiadomość o tym, że jeden ze świętych katolickich, niedawno kanonizowany, był akcjonariuszem kasyna w Monte Carlo...

Oczywiście, działalność tych maniaków trzeba bacznie śledzić, zwłaszcza że doznają oni tak czy inaczej wsparcia ze strony ustroju komunistycznego, ale trzeba również podkreślić złudzenia tych ludzi, jeśli chodzi o ich plany w stosunku do społeczeństwa polskiego. Jest to przecież w rzeczywistości tyle, co czerpanie morza sitem.

J. K.

teczny dla partii; grupa „Tygodnika Powszechnego" to — „watykańczycy"; ugrupowaniem, które przydać się może, pozostaje „Za i Przeciw"...

Bunt zespołu przeciwko dr. J. Frankowskiemu spowodował, że licencja na wydawanie pisma została cofnięta zespołowi; władze wystawiły nową indywidualnie na dr. Frankowskiego; tygodnik i Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne nadal głoszą skupianie „ludzi o jednym światopoglądzie... chrześcijan... przede wszystkim katolików". — Poparcie partii przypomina niestety wczesną historię „Paxu"...

Ocena podobnych wydarzeń jest specjalnie trudna, zwłaszcza w skomplikowanej rzeczywistości „po-stalinowskiej", gdy sprawy przestały być „czarne i białe". Nie sądzimy intencji, ale musimy sygnalizować niepokojące okoliczności i sądzić będzie trzeba skutki działalności.

PRZECIW SAMORZĄDOWI

Posłuszny organ partii „Polityka" zajął się ostatnio m. in. sprawą rzekomo zbyt daleko posuniętych swobód, uzyskanych — dzięki zmianom październikowym — przez uniwersytety. W artykule z dnia 24. 11. 57 zatytułowanym „Czy możliwa jest owocna praca partyjna na samorządnym uniwersytecie?" Adam Łopatka atakuje przede wszystkim obieralność władz uczelni i usiłuje wykazać szkodliwość osłabienia ingerencji władz administracyjnych w sprawy nauki. Zgodnie zresztą z tytułem, autor nie zajmuje się dobrem nauki, lecz podchodzi do zagadnienia jedynie od strony zadań i korzyści partyjnych. Dowodząc, że nowe warunki osłabiły siły socjalistyczne na wyższych uczelniach, ubolewa nad tym, że „niektóre osoby" pojęły sens ostatnich demokratycznych przemian jako okazję do wystąpień przeciwko polityce partii, powiada, że nie jest to tajemnicą, iż w niektórych środowiskach akademickich członkowie partii stali się przedmiotem niczym nie uzasadnionej nagonki, że zwalnia się ich bez dostatecznych powodów z pracy i pomija przy awansach. Istniejące obecnie na wyższych uczelniach tendencje do wyeliminowania z ich życia organizacji partyjnych, otwierają drogę wpływom elementów klerykalnych, liberalno - burżuazyjnych i nacjonalistycznych. Niektórzy studenci i pracownicy naukowi zrozumieli wprowadzenie samorządu na uczelniach jako wyłączenie uniwersytetów z ogólnego nurtu budownictwa socjalizmu. Te „niektóre osoby" zaczęły traktować uczelnie jako rezerwaty, do których polityka partii nie ma zastosowania. Cóż za nieporozumienie!

Organizacja partyjna — pisze dalej p. Łopatko — musi rozwinąć co rychlej taką działalność na uniwersytetach, by sylwetka polityczna uczelni nie budziła żadnej wątpliwości. Jako godny naśladowania przykład autor przytacza Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, który zadeklarował się jakoby wyraźnie jako uniwersytet socjalistyczny, to znaczy taki, w którym nauka ma się opierać na podstawach materialistycznych i w którym nie może być poglądów sprzecznych z linią nakreśloną przez władzę ludową lub godzących w ustrój socjalistyczny.

Organizacja partyjna powinna — zdaniem Adama Łopatki — być gospodarzem politycznym na uniwersytecie. Któż jak nie ona ma czuwać nad tym, aby całe życie uczelni było kierowane ku służbie celom socjalistycznym, któż jak nie ona ma dążyć do wyeliminowania z uczelni wszelkich wpływów obcych socjalizmowi, tj. wpływów klerykalnych, nacjonalistycznych i liberalno-burżuazyjnych. Przedmiotem zainteresowania organizacji partyjnej winno być — rzecz proste — wszystko cokolwiek dzieje się na uniwersytecie, jednak w szczególności uwaga jej musi być oczywiście skierowana na sprawy kluczowe, tj. te, które decydują o obliczu politycznym uczelni.

Do kompetencji organizacji partyjnej na uniwersytetach powinno też — według p. Łopatki — należeć tworzenie nowych wydziałów, katedr, kierunek studiów, a także obsadzanie stanowisk tak administracyjnych jak i naukowych. Organizacja partyjna musi mieć głos w sprawie przyjmowania na studia, ustalania listy osób wyjeżdżających w celach studiów za granicę, musi rozporządzać też prawem głosu przy przyznawaniu nagród lub uchwalaniu wyróżnień.

I znów: Cały „kolektyw" uczelni ponosi odpowiedzialność za socjalistyczny charakter szkoły, jednak w pierwszej mierze odpowiada za to organizacja partyjna. Wprawdzie — przyznaje gorliwy rzecznik partyjny — ustawa o szkolnictwie wyższym nie wspomina nic o zakresie działania w wyższych uczelniach organizacji partyjnej, a uchwały senatu nie wymagają formalnie jej zgody lub decyzji, niemniej jednak istnieją przecież sposoby, aby stała się ona czynnikiem decydującym. Jeśli np. czy to w senacie czy w radach wydziałowych zasiada co najmniej trzech członków partii, to należy ich uważać za zorganizowany zespół partyjny. Zadaniem tego zespołu będzie staranie się o to, by polityka senatu czy rady wydziałowej była zgodna z polityką partii.

Obowiązkiem rektorów, prorektorów, dziekanów, tj. wszystkich osób ponoszących odpowiedzialność za „socjalistyczne oblicze" uczelni, musi być m. in. organizowanie spotkań władz uczelni z aktywem partyjnym, a także z kierownictwem rady miejscowego związku zawodowego, jak również utrzymywanie stałych (codziennych) kontaktów z sekretarzami organizacji partyjnej i wzajemna wymiana poglądów i informacji.

Takich to zmian oczekuje na uniwersytetach w Polsce p. Adam Łopatko, a — co ważniejsze — spodziewają się ich ci, którzy za nim stoją.

A. Z.

Z BOGIEM CZY BEZ BOGA?

(Dokończenie ze str. 13)

ści katolickiej, obok sporych mniejszości protestanckich (kalwini i luteranie). Nikt nie zaprzeczy, że jedynym organizmem, który konsekwentnie walczy z systemem komunistycznym, jest Kościół katolicki. Z tego powodu Kościół zyskał sobie wiele sympatii ze strony innych wyznań. Nie chcę przez to powiedzieć, że protestanccy duchowni popierali komunizm, ale bez wątpienia silna organizacja, duch jego doktryny i celibat duchowieństwa dają pierwszeństwo Kościołowi.

Zgodnie z komunistyczną konstytucją każdy ma prawo praktyki religijnej bez ograniczenia. Formalnie więc rodzice mogą zapewniać dzieciom wykształcenie religijne. Praktyka różni się jednak od teorii w państwie komunistycznym. Rodzice muszą zwracać się o naukę religii w szkołach, co nie jest „wskazane". Po perswazji przychodzą groźby. Szkoła zawiadamia komórkę partyjną w zakładzie pracy ojca, który łatwo znaleźć się może na czarnej liście.

W rzeczywistości księża nie mają wstępu do szkół. Ponieważ zakony i wszystkie organizacje religijne zostały rozwiązane, jedynym miejscem, gdzie odbywać się może nauka religii, pozostają kościoły. Odpowiedzialność za religijne wykształcenie dzieci spada więc niemal wyłącznie na rodziców. Posyłają dzieci do kościoła, albo uczą je religii sami. Fakt odrodzenia religijnego nie ulega wątpliwości; ale kształcenie religijne dzieci i młodzieży jest niezorganizowane i niekompletne.

Oto są warunki, w których młodzi wyrastają. Czy bez spokojnego, ludzkiego dzieciństwa może wyrosnąć zdrowe pokolenie? Czy nowe pokolenie nie będzie różne od obecnego?

Młodzi nienawidzą komunizmu, ale w pojęciach ich panuje zamęt. Zdolność myślenia i sądu jest niewykształcona; często nie wiedzą w co wierzyć. Instynktownie czują, że filozofia miłości przewyższa filozofię nienawiści, ale nie zawsze potrafią wybrać między spirytualizmem a materializmem. Podważono idealizm, tak cenną cechę młodości. Udziałem ich jest rozczarowanie, bo poznali złe i smutne strony życia. A jednak ta desperacka młodzież, chowana przez partię rzuciła się do walki. Nastąpiło naoczne bankructwo „czerwonego wychowania".

Nacisk niepewności, fałszu i niesprawiedliwości powoduje u młodych postawę antyspołeczną, przeświadczenie, że nie warto służyć zbiorowości, ale zarobić i użyć. To nastawienie przejawia się w wyborze zawodu. Widać pęd do zawodów najlepiej płatnych: techniki czy medycyny. Sport, faworyzowany przez propagandę w krajach pod panowaniem komunistycznym, przyciąga nadzieją korzyści i zarobku.

Tak zwany „amerykanizm" szerzy się w życiu prywatnym pomimo wszelkich zakazów: pseudo-zachodni jazz, tańce i teddyboyowskie mody. Choć brak statystyk, pewne jest niestety, że kryminalne wykroczenia młodocianej chuliganerii wykazują stały wzrost w ostatnich latach.

Komunizm i warunki, jakie stworzył, wpływają destrukcyjnie na młodzież węgierską. Brak wolności i kampania antyreligijna mogą zmienić do pewnego stopnia charakter pokolenia. Nie mogą go jednak przerobić całkowicie. Wpływ rodziny i Kościoła jest pomimo wszystko silniejszy niż wpływ narzuconego systemu.

Wiara w Boga i wolność są podstawowymi dążeniami ludzkości i każdy reżym upadnie, który zaatakuje te naturalne dążenia. W tym leży nadzieja.

(tłum. z ang.)

PAŃSTWO I SPOŁECZEŃSTWO W SOWIETACH

Napisał STEFAN ŁOCHTIN

Gdy czytać współczesne opracowania na temat Sowietów, trudno się uchronić przed wrażeniem, że państwo komunistyczne składa się ze świadomego rządu i posłusznych a nieświadomych milionów. Czytamy bowiem o kierownictwie politycznym, o jego planach i decyzjach, a bardzo rzadko słyszymy o ludziach i ich życiu niepolitycznym.

Ale podobne dzieła o innych krajach, Indiach czy Stanach Zjednoczonych, bardzo często nie zajmują się wcale problemem rządów i ich wykonywania — przechodzą obok tego zagadnienia, oddając się studiom grup ludzkich w ich stosunku do spraw leżących poza polityką, w sferach rozciągających się od moralności i obyczajów do sztuki. Czy nie można tak samo podchodzić do Sowietów?

Specyficzny charakter bolszewickiego totalizmu powoduje, że podejście do życia sowieckiego w oderwaniu od polityki jest niemożliwe. Nie jest to jednak to samo, co twierdzić, że polityka to wszystko; że życie sowieckie nie zna dziedzin od niej wolnych, bądź od niej odwracających się.

System komunistyczny jest całkowitą dyktaturą jednej grupy nad wszelkimi przejawami życia zbiorowego i dążeniem do panowania nad całością życia indywidualnego. Jednak dążenie i osiągnięcie to nie to samo. Całkowite panowanie nad bytem fizycznym i intelektualnym obywateli byłoby możliwe, gdyby komunizm umiał przewidzieć możliwości rozwojowe opanowanego społeczeństwa i gdyby mógł z góry przygotować narodziny i rozwój nowych prądów umysłowych. Tak zaś nie jest. Bolszewicy na swój sposób rozwiązali kwestię zdobycia władzy i utrzymania jej w ręku grupy złączonej wspólną filozofią, wspólną techniką panowania i wspólnym brakiem skrupułów. Nie rozwiązali jednak sprawy władzy nad umysłami. Było to dla nich tym trudniejsze, że to oni wystąpili z tezą o społeczeństwie, jako organizmie o stale zmiennych formach — teraz zaś pragną wszystkich przekonać, że dalszych przekształceń już nie będzie, gdyż proces zbliża się do punktu kulminacyjnego, poza którym jest tylko niezmienna bezwładność. Nie powiedziano tego jeszcze oficjalnie, ale już sam fakt, że zmiany mogą legalnie pochodzić tylko od kierownictwa partii, wskazuje na powolne skrzepnięcie systemu.

Ustrój sowiecki zdecydowanie domaga się panowania nad umysłami. Jest to jego cechą charakterystyczną, że pragnie mieć nie tylko to — co cesarskie, ale i to — co Boskie. W tym sensie jest on kontynuacją monarchii rosyjskiej, której ukoronowani przedstawiciele też chcieli mieć jedno i drugie, łącząc władzę świecką i duchowną w jednych, i to świeckich rękach.

Ta ciągłość tradycji jest argumentem w ręku tych historyków i publicystów, którzy nie wierzą nawet w możliwość oddzielnego rozwoju państwa i społeczeństwa w Rosji. Po tylu wiekach złączenia — mówią — nie można już mówić o rozdzieleniu. Argument ten jest jednak powierzchowny, gdyż treść tego złączenia jest obecnie inna niż dawniej, a nawet jej formy są odmienne. Jest on też niesłuszny, gdyż tradycja Rosji znała również okresy rozdziału władzy nad państwem od władzy nad myślami człowieka.

Około 250 lat średniowiecza upłynęło na Rusi w atmosferze podziału władzy na duchowną i świecką, gdyż szczytem władzy świeckiej był tatarski najeźdźca. Był to więc okres mniej lub bardziej wyraźnego dualizmu. Wiek moskiewskich Rurykowiczów i trzy wieki Romanowów zbudowały tradycję przeciwną. Ale już w połowie w. XIX inteligencja rosyjska postawiła znak zapytania a potem całkowicie odrzuciła pretensje władzy państwowej do panowania nad sumieniami.

Po rewolucji bolszewickiej partia komunistyczna powoli wróciła na stanowisko cesarzy — wysunęła ona pretensje do kontroli czynów i myśli obywatela. Ale sam fakt rewolucji był buntem przeciw takiej władzy: była to przecież rewolucja niespokojnych sumień przeciw wszechpotężnemu państwu. Od tego czasu wyraźnie występują dwa prądy: jeden ukazuje się na szczytach hierarchii partyjnej i państwowej i objawia się w dążeniu do zacieśnienia kontroli nad umysłami — drugi drąży społeczeństwo a nawet samą partię, domagając się prawa do myślenia inaczej niż myślą zwolennicy panującego nurtu. Rządzenie w tych warunkach nie jest wcale łatwe, a dowodem tego jest czterdzieści lat historii sowieckiej partii komunistycznej, która spędziła znaczną część tego czasu na krwawych dyskusjach wewnętrznych oraz okrutnych kampaniach przeciw społeczeństwu.

Okres, który obecnie przeżywamy, wydaje się niewłaściwym dla dyskusji o warunkach niezależności sumień ludzkich w Sowietach: przecież to teraz zarysowują się i panowanie partii nad sztuką i literaturą, i zwiększenie autorytetu policji politycznej, i zgnębienie opozycji w partii komunistycznej, i represje przeciw krytycznie nastawionej młodzieży akademickiej. A jednak okres ten mówi wiele i z innego punktu widzenia.

Punktem wyjścia tego okresu były ustępstwa zapowiedziane na 20-tym zjeździe w Moskwie. Ustępstwa te były krótkotrwałe, to prawda, ale ich pojawienie się świadczyło o potężnej presji wewnątrz i poza partią. Bez tej presji, milczącej czy po prostu niemej, ale potężnej, nie można zrozumieć tego, co było przez krótki czas „destalinizacją". Sam fakt istnienia takich presji wskazuje, że komunizm nie rozwiązał kwestii władzy nad umysłami, gdyż nie umie on przewidywać powstania prądów umysłowych, których stłumienie w zarodku byłoby prostsze niż czekanie aż wybuchną pożarem powstania w Budapeszcie.

Powstanie węgierskie przerwało okres ustępstw, gdyż władcy Sowietów przestraszyli się nie tylko węgierskiego, ale przede wszystkim — własnego ludu. Tym samym odkryli odległość dzielącą ich od społeczeństwa i pokazali, że ich władza nad sumieniami obywateli jest ograniczona i nie sięga zbyt głęboko — każdy wstrząs może ją zniszczyć.

Jednocześnie krótki okres odprężenia wykazał, ile podskórnych i podziemnych prądów czai się w umysłach obywateli sowieckich, czekając tylko sprzyjającej okoliczności. Okazało się wprawdzie, że opozycja w ZSRR nie jest liczna, ani nie idzie głęboko w masy, ale to samo można powiedzieć o rządzącej partii. Tym niemniej istnienie takiej opozycji zaznaczyło się w 1956/57 r. przejawiając się skromną propozycją drugiej partii politycznej, uwolnienia literatury i sztuki spod nadzoru partii oraz osłabienia tempa reformy gospodarczej Chruszczowa. Głosy te były słabe, ale zaciekłość, z jaką partia przeciw nim wystąpiła, dawała dużo do myślenia. Mimo woli przychodziło na myśl, że partia usiłuje krzykiem zagłuszyć zagadnienie postawione, ale nie rozwiązane przez rewolucję.

System rządów caratu w wieku XIX polegał na nieuznawaniu głosu społeczeństwa, a w wieku XX na niedopuszczaniu społeczeństwa do głosu. Nabrzmiewające żądania różnych wartsw i grup społecznych, hamowane przez carat, w konsekwencji bardzo dopomogły rewolucji.

Bolszewizm, ze swą nieliczną organizacją, płynął wtedy na fali takich żądań, z całą świadomością przyswajając sobie najskrajniejsze a popularne hasła chwili. Było to, skutkiem doktryny leninowskiej nastawionej na zdobycie i utrzymanie władzy, postawione jako najważniejsze zadanie ruchu. Stąd wynikała potrzeba „przysłuchiwania się głosowi mas." Mówi się o niej jeszcze dzisiaj i cała dwuznaczność tego zagadnienia w sowieckim ujęciu ukazuje się bardzo mocno, gdy zauważyć, że bolszewikom wcale nie chodzi o postępowanie zgodnie z życzeniami „mas", a tylko o znalezienie dróg najmniejszego konfliktu z masami lub o taką prezentację własnej polityki, by się masom zdawało, że to ich polityka.

Postawa taka musi nieraz prowadzić do dyskusji oraz do rozgrywki ze społeczeństwem. Mistrzem takiej rozgrywki, w najokrutniejszym wydaniu, był Józef Stalin.

Można rozpatrywać zarówno jego kolektywizację, jak prześladowanie religii

na skalę państwową oraz przesadne tempo uprzemysłowienia, jako poszczególne kampanie w walce ze społeczeństwem. To ostatnie wielokrotnie ulegało, nabierając jednocześnie przekonania, że maszyna państwowa jest jego naturalnym wrogiem. Było to potwierdzenie podobnego sądu wytworzonego pod panowaniem cesarskiej autokracji w ubiegłym wieku. W ten sposób bolszewizm przez trzydzieści kilka lat przyczyniał się do utrzymania przedziału pomiędzy władzami państwa a masą jego obywateli. Zagraniczni obserwatorzy tego procesu przypuszczali, że jego koronacją będzie całkowita likwidacja jakichkolwiek więzów społecznych — zupełne rozproszkowanie.

Bolszewicy zaś widzieli to inaczej. Dlatego przeprowadzili wiele zmian po śmierci Stalina, które miały przekonać społeczeństwo, że państwo — w ostatecznym rachunku — jest przyjacielem. Należą tu osłabienie aparatu terroru, zmniejszenie zasięgu obozów pracy niewolniczej, decentralizacja administracji przemysłowej i sądownictwa a nawet pewne osłabienie surowości systemu kołchoznego. Jednak nie można przypuszczać, że zmiany te były tylko skutkiem kalkulacji na szczeblu najwyższym partii rządzącej. Raczej — i to jest znamienne — były one skutkiem nacisku z dołu, a więc nacisku zrodzonego w społeczeństwie.

Gdy więc mówimy, że społeczeństwo w Sowietach nie ma nic do powiedzenia, to popełniamy znaczny błąd. Społeczeństwo bowiem nie ma tam żadnej formy organizacyjnej i jest tak kontrolowane, że takiej formy nie może jawnie rozwinąć. Okazuje się jednak, że istnieją formy tajne i to nie tylko w obozach. Formy te należą bądź do polityki, bądź do religii.

Okazuje się też, że w pewnych kwestiach państwo musi czynić zdecydowane ustępstwa, albo nawet nie może zapobiec działaniom, do których pragnęło początkowo nie dopuścić. Zdecydowanym ustępstwem było wojenne postanowienie Stalina, by przywrócić istnienie prawosławnej hierarchii cerkiewnej. Dużo napisano na temat podporządkowania tej hierarchii władzom świeckim, ale nie można zaprzeczyć, że jej powrót do życia oficjalnego umożliwił otwarcie wielu świątyń i wznowienie oficjalnych modłów oraz nauki religii w ograniczonym zakresie. Prawda, że powstanie hierarchii zależnej od państwa spowodowało z kolei odwrót od oficjalnej Cerkwi w masach i doprowadziło do powstania „Cerkwi Podziemnej", która była rodzajem szeroko rozpowszechnionej sekty, głęboko jednak przywiązanej do pewnych prawd chrześcijaństwa. Przez wiele lat jej członkowie i wyznawcy byli prześladowani i masowo zsyłani do łagrów. Od dwóch lat jednak większość ich jest na wolności. W ten sposób rząd sowiecki po cichu uznał prawo człowieka do posiadania własnych przekonań religijnych nawet w państwie ateistycznym. Jest to bardzo wąskie uznanie, wiedzą o tym katolicy, ale zostało ono jednak wywalczone wbrew rządowi i partii.

Innym przykładem podobnego zjawiska jest fakt, że Koran w odpisach ręcznych krążył do ostatnich czasów wśród muzułmanów Azji Centralnej, pomimo zniesienia pisma arabskiego przed dwudziestu laty i uporczywej walki z religią Islamu. W r. 1955 zakaz Koranu został zniesiony, powstała szkoła nauczycieli muzułmańskich, ich własna hierarchia nauki religii i skromny punkt oficjalnego wydawnictwa religijnego.

Podobnie jest też z kwestią żydowską. Żydzi są narodem bez szkół, bez gazet, bez książek i bez uznania za oficjalny „naród" w Sowietach. A jednak niedawno okazało się, że jest nowa literatura w yiddisz, a dzieła jej krążą w odpisach.

Do tego trzeba dodać, że panowanie państwa i partii nad poglądami artysty też nie jest zjawiskiem stuprocentowym. Wystarczy tu wspomnieć, że przez wiele lat władze państwowe i partyjne tolerują milczenie największego żyjącego poety sowieckiego, Pasternaka, który tylko tłumaczył z obcych języków a nie pisał sam, by się nie kłaniać „soc-realizmowi". Ostatnio napisał powieść pt. „Doktór Żiwago", ale wydrukowano ją... we Włoszech.

W ten sposób dochodzimy do konkluzji: społeczeństwo w Sowietach istnieje. Trudno jest śledzić jego życie w oderwaniu od życia partii i państwa, gdyż partia stara się przemilczeć lub zagłuszyć głos społeczeństwa. Głos ten zaś nie jest jednolity ani bardzo mocny. Ale udaje mu się w niektórych kwestiach przeprowadzać własne postulaty, choć może posługiwać się tylko środkami biernego oporu i przetrwania.

Przyszłość pokaże, co będzie silniejsze — prądy podskórne sowieckiego społeczeństwa czy aparat władzy...

Stefan Łochtin

Rewizjonizm niemiecki narasta

Ostatnie wydarzenia w polityce międzynarodowej, rozgłos, jaki w zachodnich Niemczech zyskały wykłady prof. Kennana, wystąpienia polityków brytyjskich Bevana i Gaitskella w sprawie neutralnej strefy środkowo - europejskiej, uporczywe powracanie prasy niemieckiej do planu Rapackiego, aktywność partii socjaldemokratycznej NRF w zakresie popularyzowania swej koncepcji niemieckiej „Ostpolitik" itp. — powodują, że sprawa polska nie schodzi z łamów prasy niemieckiej i że mnożą się głosy, nawołujące do realistycznego podejścia do rzeczywistości za Odrą i Nysą. Jednocześnie jednak uruchomiły koła rewizjonistyczne nową kampanię za nieugiętym podtrzymywaniem niemieckich roszczeń terytorialnych i za prowadzeniem polityki, nawiązującej do niesławnej pamięci tradycji niemieckich na wschodzie.

„Ordnung Europas". Centralnym ośrodkiem niemieckiej propagandy rewizjonistycznej są Związki Uchodźców i inspirowane przez nie instytuty, „Arbeitskreise" i czasopisma. Niektóre z nich zdobyły sobie szczególnie niechlubną sławę, strojąc się w pióra rzekomych „przyjaciół narodu polskiego" i przedstawiając się perfidnie za rzeczników porozumienia pomiędzy Niemcami i narodami wschodniej Europy. Wśród ośrodków tych góruje monachijskie czasopismo **„Der Europäische Osten"**, wychodzące pod redakcją Edmunda von Gordona, mającego zgoła prowokacyjne pomysły w zakresie „porozumienia niemiecko - polskiego". W maju ubiegłego roku ogłosił Gordon rzekomo pojednawczy artykuł w sprawach polskich pt. „Polen muss wieder an seinen alten Platz", w którym wysunął m. in. projekt utworzenia z poznańskiego i przedwojennego Pomorza, jako z ziem „narodowo mieszanych", osobnego państwa neutralnego na wzór Belgii(!!). Mimo ostrej krytyki, z jaką artykuł ten się spotkał nawet ze strony kół niemieckich, Gordon konsekwentnie kroczy po tej samej linii, nadal udając po judaszowsku przyjaciela Polski. Nowy przyczynek do jego swoiście rozumianego „porozumienia" umieściła redakcja „Der Europäische Osten" w styczniowym numerze swego wydawnictwa. **„Gemeinsame deutsch-polnische Ostpolitik"** tak oto zatytułowany jest wstępny artykuł tego numeru, sygnowany literami „Go" (Gordon?). Czas wreszcie skończyć z dyskusją na temat granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie — brzmi zasadnicza myśl tego artykułu. Dlaczego? Posłuchajmy co pisze p. Go.

„Dziś już nie ma kwestii, czy nasze ziemie wschodnie wrócą ponownie do nas. W obliczu bowiem dużej żywotności, którą naród niemiecki wykazał na przestrzeni ostatnich lat 12, nie potrafią nawet nasi wrogowie zapobiec dalszemu wzmocnieniu Niemiec i tym samym uniemożliwić zwrócenie nam niemieckich obszarów... Nie może być żadnej wątpliwości co do tego, że po dalszych latach dziesięciu uporządkowanie Europy (eine Ordnung Europas) możliwe będzie tylko przy pomocy Niemiec. W sprawie tego faktu może już dzisiaj nastąpić porozumienie między Polską i Niemcami. Wzmocnienie (Erstarkung) Niemiec mogłoby być ratunkiem dla wszystkich narodów wschodu"(sic!!!).

Tych kilka zdań stanowi faktyczny program polityczny kół rewizjonistycznych. Tu już nie chodzi o taką czy inną rewizję granicy polsko-niemieckiej. „Ordnung Europas", oparta o taką siłę Niemiec, „której nawet wrogowie nie będą mogli zapobiec", przetłumaczona na język potoczny oznacza niemieckie panowanie w Europie i różni się tylko w niuansach od programu europejskiego „tysiącletniej Rzeszy". Czy w obliczu takich tendencji nie są aż nadto uzasadnione obawy polskie przed rewizjonizmem i militaryzmem niemieckim? Czy „kompleks strachu" przed Niemcami, tak niezrozumiały dla niektórych czynników niemieckich, jest istotnie pozbawiony wszelkich podstaw? Oficjalnej polityce Bonn, szczególnie „europejskiej polityce" rządu NRF, oddał „Europäischer Osten" jak najgorszą przysługę.

Wybryki Gordonów można by oczywiście zlekceważyć lub zgoła zignorować. Wywody w rodzaju cytowanego artykułu są w gruncie rzeczy — by nie używać dosadniejszego słowa — ...naiwne. Czym bowiem w zestawieniu z potencjałem Ameryki i Rosji i w obliczu obecnej sytuacji międzynadodowej — jest potencjał Niemiec, państwa podzielonego, będącego tylko obiektem gry politycznej wielkich mocarstw. Nic nie wskazuje na to, by stan ten w ciągu najbliższych lat ulec miał zasadniczej zmianie, przynajmniej takiej, w której stosunek sił Ameryka — Rosja — Niemcy zbliżyć by mógł Niemcy do potencjału jednego z dwóch wielkich mocarstw świata Zignorować można by brednie E. O. i dlatego, ponieważ szersze masy społeczeństwa niemieckiego wykazują znacznie realistyczniejszy zmysł rzeczywistości, aniżeli przywódcy organizacji i instytucji uchodźczych. Czy jednak rewizjonizm nie ma poparcia choćby pośredniego ze strony kół oficjalnych? Można by całymi stronicami przytaczać praktyczne przykłady, świadczące o możnych protekcjach tego ruchu ze strony czynników oficjalnych. Skąd na przykład organizacje uchodźców, będące głównymi rozsadnikami bakcyli rewizjonistycznych, czerpią swoje środki finansowe? Na tle pewnego konfliktu pomiędzy nowomianowanym ministrem dla spraw ogólnoniemieckich, Lemmerem, a ministrem dla spraw uchodźców, Oberlaenderem, na temat kompetencji obu ministerstw, ujawniono (vide: „Frankfurter Allgemeine Zeitung" z 16. 1. 1958), że Ministerstwo dla Spraw Uchodźców subwencjonuje organizacje uchodźcze roczną kwotą 1.7 milionów marek, zaś Ministerstwo Spraw Ogólno-Niemieckich „znacznie wyższą kwotą". A ile marek płynie na te same lub podobne cele z zakamuflowanych pozycji budżetowych?

Wiadomo np. również, że monachijski Instytut Wschodnio-Europejski opiera swą egzystencję budżetową o środki czerpane ze skarbu zarówno bawarskiego jak i federalnego. Niedawno temu ukazała się za poparciem tegoż Instytutu książka **Hilmara Toppe** pt. **„Elisabeth Wiskemann und Deutschlands Nachbar — Polen"**, zawierająca polemikę ze znanym studium uczonej angielskiej na temat wschodnich sąsiadów Niemiec. Książka została wydana jako „Sonderveröffentlichung des Stiftverbandes der deutschen Wissenschaft" i jako „Gemeinschafts-veröffentlichung des Osteuropa-Instituts — München". Wydana pod auspicjami „naukowymi", ma poziom tak kompromitujący, że nawet rząd w Bonn uznał za wskazane odgrodzić się od tego rodzaju propagandowych wybryków. „Frankfurter Allgemeine Zeitung" z dnia 17 stycznia pisze w związku z tym w notatce pt. „Taktlosigkeiten des Osteuropa-Instituts": „Rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych oświadczył (w związku z wyżej wymienionym wydawnictwem), że rząd federalny uważa wprawdzie tezy brytyjskiej autorki za błędne, ubolewa jednak nad osobistymi atakami. Tego rodzaju „nietakty" mogą sprawie rządu federalnego jedynie szkodzić."

Mimo niektórych wystąpień i faktów, świadczących o pewnych usiłowaniach lojalnego kształtowania stosunku Niemiec do Polski i mimo przejawiających się nieraz obecnie dowodów życzliwości dla narodu polskiego, rewizjonizm niemiecki nie tylko że istnieje, ale potęguje się przyjmując niejednokrotnie rozmiary, które budzić muszą myśl o bezdrożach, na jakie wkroczyć może w przyszłości polityka Niemiec w stosunku do Polski i wschodniej Europy.

S. C.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA REWIZJONISTYCZNE NRF

„Land in Not" — Niederdeutscher Verlag Ulrich & Ziss, Sarstedt/Hannover pióra **Hansa Jürgena von Wilckens** — omawia problem Gdańska i Prus Zachodnich, wydane na zlecenie „Landsmannschaft Westpreussen".

✱

Praca zbiorowa wydana przez „Göttinger Arbeitskreis" pt. **„Deutschlands Ostproblem. Eine Untersuchung über die Beziehungen des deutschen Volkes zu seinen östlichen Nachbarn"** — Holzner Verlag, Würzburg.

✱

„Johann Gottfried Herder-Institut" w Marburgu wydał tom III swej pracy **„Ostdeutschland unter fremder Vorwaltung"**, poświęcony „wschodniemu Pomorzu" — Alfred Metzner Verlag, Frankfurt. Autorem tej pracy jest **Ernst Bahr.**

✱

Holzner-Verlag w Würzburgu zapowiada ukazanie się na początku lutego dalszej publikacji „Göttinger Arbeitskreis" — **„Die deutschen Ostgebiete jenseits von Oder und Neisse im Spiegel der polnischen Presse"**.

✱

JAPOŃSKIE DYLEMATY

61-letni premier japoński Kishi jest dzisiaj niewątpliwie najwybitniejszym mężem stanu w niekomunistycznych krajach Azji, obok premiera Indii Nehru. Obaj mają niezwykle trudne zadania: Nehru musi jakoś odwrócić grożącą katastrofę gospodarczą swego kraju, Kishi ma przed sobą bodaj jeszcze większe trudności do zwalczenia.

Przemawiając niedawno w parlamencie w Tokio Kishi użył następującego znamiennego wyrażenia: „W stosunku do Azji Japonia rozmawia ze Stanami Zjednoczonymi na płaszczyźnie zupełnej równości". Zdanie to w języku politycznym oznacza, że Japonia, będąc sama krajem azjatyckim, rozumie Azję lepiej niż Stany Zjednoczone, że Japonia jest mostem Ameryki do Azji i że Japonia w całym obszarze azjatyckim jest równouprawnionym partnerem Stanów Zjednoczonych. Ważnym uzupełnieniem tego zdania jest inne, wypowiedziane przez premiera Kishi przy innej sposobności: „Odrzucamy neutralizm i ustawiamy się w tej samej linii co Stany Zjednoczone".

Między Sowietami a Ameryką. Cały tragizm położenia Japonii wyziera z tych dwóch stwierdzeń. Japonia jest częścią Azji, co zauważyć można na każdym kroku, ale kto zna osobiście i inne części Azji, uświadamia sobie, że Japonia nie jest tylko częścią Azji. W dziedzinie emocjonalnej Japończycy uczestniczą bardzo silnie w fali nacjonalizmu, która czyni politykę w tej części świata czymś tak nieobliczalnym. Z drugiej strony, Japończycy są w dziedzinie intelektualnej „zachodni", albo prawie „zachodni".

Polityki jednak nie można robić wyłącznie intelektem, ani uczuciem, choć z czynnikami uczuciowymi trzeba bardzo się liczyć. Przeszkodą uczuciową w polityce japońskiej jest nieufność do Ameryki, rozpowszechniona wśród szerokich mas krajów azjatyckich, do której rozniecenia przyczyniła się wydatnie zręczna propaganda komunistyczna. Płynie ona nie tylko z Sowietów, ale także w jeszcze większym stopniu z czerwonych Chin, które oddziałują zwłaszcza na Indonezję, oraz te wszystkie kraje Azji południowej, które posiadają duże domieszki chińskie w swym zaludnieniu, jak Malaje, Syjam i nawet Burma.

O torowanie wpływów gospodarczych. Wśród tych trudności politycznych Kishi musi nieustannie walczyć o zapewnienie i rozszerzenie rynków zbytu dla wyrobów przemysłu japońskiego, co niejednokrotnie trzeba łączyć z zabiegami o wpływy polityczne. Trzeba zawsze pamiętać o tym, że Japonia, kraj o powierzchni niedużo większej niż obszar Wielkiej Brytanii, będzie posiadała już niedługo sto milionów mieszkańców, że Japonia przegrała wojnę, i że straciła ona dużą część swych rynków zbytu oraz terenów kolonizacyjnych, przede wszystkim w Chinach. W dodatku w szeregu krajów, zwłaszcza tych, które znajdowały się pod okupacją japońską w czasie ubiegłej wojny, silne są sentymenty przeciwjapońskie, które również podsycają komuniści, przedstawiając Japończyków jako popleczników kapitalistycznego i „kolonialnego" Zachodu. Japonia wykazała już niezwykłą odporność wobec grożących jej niebezpieczeństw — w szczególności stworzyła po wojnie nowy właściwie, ogromny przemysł, dostosowany do nowych warunków i do konkurencji z innymi wielkimi państwami przemysłowymi. Wprawdzie udział Japonii w eksporcie nie osiągnął jeszcze poziomu przedwojennego w stosunku do ogółu obrotów światowych, jak podaje rocznik Narodów Zjednoczonych dotyczący handlu światowego, ale ogromny wysiłek Japończyków prawdopodobnie już wkrótce ubytek ten wyrówna.

Broń atomowa dla Japonii? Kishi stoi przed nowymi wewnętrznymi próbami. W roku bieżącym odbędą się wybory do nowego parlamentu tokijskiego. Rząd Kishi będzie próbował uzyskać taką większość, by socjaliści, którzy stanowią dosyć poważną siłę polityczną, nie mogli zachwiać gmachem większości rządowej. Stanie się to, jeśli grupie kierowanej przez Kishi uda się uzyskać silniejsze niż dotąd stanowisko w łonie tej większości.

Zagadnieniem bardzo drażliwym w akcji wyborczej jest sprawa uzbrojenia Japonii w broń atomową. Kierownictwo japońskich sił zbrojnych domaga się zaopatrzenia ich w broń atomową taktyczną; nie myśli ono o broni wodorowej. Siły zbrojne Japonii będą miały ściśle ograniczone zadanie ochrony w ewentualnej wojnie regionalnej. Kierownicze koła japońskie pono uważają za mało prawdopodobną wojnę totalną między Stanami Zjednoczonymi a Sowietami, przypuszczają bowiem, że Moskwa na serio obawia się zdolności Ameryki do niszczącego przeciwuderzenia.

Wspomnienia Hiroshimy i Nagasaki sprawiają, że wprowadzenie broni atomowej, nawet taktycznej, jest bardzo niepopularne wśród ludności. Ostatnio jednak sukcesy sowieckie w postaci sputników i rakiet międzykontynentalnych miały ten efekt, że duże odłamy opinii publicznej w Japonii, do tej pory antyamerykańskie, poczęły upatrywać ratunek w sile Stanów Zjednoczonych.

POLACY NA OBCZYŹNIE

A po polsku potrafisz?

Jak natrętna melodia prześladują mnie powyższe słowa, na pierwszy rzut oka dziwne i niespodziewane. Niech mi nasi puryści językowi darują, że je umieszczam w nagłówku, grubymi i czarnymi literami.

Sprawa się wyjaśni. Ale — trzeba zacząć od Adama i Ewy.

*

Czytuję czasem ubolewania nad upadkiem polskich szkół i szkółek sobotnich w Anglii, w Australii i gdzieś tam jeszcze indziej. I w ogóle nad upadkiem i zanikiem polskiej mowy wśród naszego wielomilionowego wychodźstwa.

Czytam i dumam.

Polonia brazylijska miała przed jakimi 20 laty nie tylko szkółki sobotnie i nie tylko szkoły elementarne. Miała ponad trzysta szkół powszechnych, miała nawet polskie gimnazjum.

Troszczyli się o to zarówno prości, czasem niepiśmienni koloniści, troszczył się ksiądz, troszczyły się organizacje lokalne i związki obejmujące szerokie obszary południowej Brazylii. Między wojnami troszczył się o to konsulat R. P. Dla jednych było to wcielenie w czyn hasła „ oświata ludu dokona cudu", dla drugich — kontynuacja wiekowej misji oświatowej, prowadzonej przez Kościół.

To wszystko skończyło się w latach 1938-9, kiedy rząd brazylijski, nie troszczący się dawniej o zakładanie szkół poza miastami, zadecydował rozszerzyć szkolnictwo brazylijskie, narodowe, na wszystkie wioski i miasteczka. Było to przejawem budzącego się nacjonalizmu brazylijskiego, a zarazem objawem troski o zasymilowanie milionowych rzesz emigranckich zaludniających cztery południowe stany z przewagą Włochów w Sao Paulo, Polaków w Paranie, a Niemców w Santa Catarina i Rio Grande do Sul.

Rząd brazylijski nie mógł zresztą patrzeć przez palce na tajemnicze zachowanie się po nazistowsku zorganizowanej młodzieży niemieckiej i po faszystowsku organizowanej młodzieży włoskiej. Podobno miał coś do zarzucenia niektórym tromtadrackim ugrupowaniom wśród Polaków, o czym chodzą „głuche wieści między ludem", wypływające czasami urywkowo, ubocznie, półgębkiem na łamy prasy polskiej zarówno na emigracji (w artykule Rafała Malczewskiego w „Wiadomościach") jak i krajowej („7 Dni"). Widocznie jeszcze nie czas na historyczne ujęcie tej sprawy. Dość, że od roku 1938 dzieci polskich kolonistów i emigrantów powojennych chodzą do szkół brazylijskich zgodnie z nakazem ustaw konstytucyjnych, tak stanowych jak i federalnych.

Tu i ówdzie powstają od czasu do czasu pozaszkolne kursy języka polskiego, los ich jest jednak przeważnie taki sam jak w innych częściach świata: dzieci mają do obowiązkowej nauki szkolnej i rzadko kiedy uczą się chętnie w owych szkółkach sobotnich i wieczorowych, rodzicom brak wytrwałości i szkółki kończą się ni tak ni owak — po prostu zanikają.

Nauka języka polskiego ogranicza się więc do nielicznych rodzin, które o to dbają. Takich rodzin jest jednak bardzo mało, nawet po miastach i nawet wśród inteligencji. Raz na jakiś czas można jednak spotkać kilkunastoletnich chłopców i dziewczęta, mówiących najczystszą polszczyzną bez obcego akcentu i bez przymieszki obcych słów i wyrażeń. Takie dzieci i taką młodzież da się policzyć na palcach.

W małej kurytybskiej osadzie (czyli „kolonii") pyta ksiądz, przybywający tam po raz pierwszy z nabożeństwem, w jakim języku się tam głosi kazania. Odpowiada mu prezes komitetu (mówiący wcale dobrze po polsku, ze śląskim akcentem), że po polsku zrozumie księdza tylko najstarsze pokolenie, a średniacy i młodzież, czyli „gente nova" mówi tylko po portugalsku... Mówi, śpiewa, modli się — w języku krajowym.

Jednemu z Polaków, którzy nie dak dawno przyjechali do Brazyli, zgotowano w parafialnej szkole skromne powitanie. Jakież było jego zdziwienie, że autentyczna polska blondyneczka powitała go w języku portugalskim, a zaraz po niej powiedziała po polsku wierszyk — czarna jak węgiel Murzyneczka! Murzyneczka jest przybranym dzieckiem powojennych emigrantów (zlitowali się nad sierotą z sąsiedztwa), a blondyneczka dzieckiem wychowanym już w atmosferze brazylijskiej, prawnuczką polskiego emigranta z osiemdziesiątych lat ubiegłego wieku.

Inny świeżo upieczony mieszkaniec Brazylii znalazł się wśród dzieci w podkurytybskiej szkółce. Próbował mówić po brazylijsku, czyli portugalsku, ale rzecz jasna — nie bardzo mu to szło. Nie umiał słów dziecinnych, wymawiał może niezbyt dokładnie. Próbował po polsku. Nie szło. Dzieci nie odpowiadały na polskie pytania. Wyglądało na to, że się wstydziły, krępowały przed brazylijskimi koleżankami. I że nie rozumiały polskich pytań, nawet prostego pytania „umiesz po polsku?".

— Proszę Siostry — zapytał później kierowniczkę szkoły — czy tu dzieci nie umieją po polsku?

— Jedne umieją, drugie nie — brzmiała odpowiedź — nie ma kto uczyć, ani kiedy, mało kto o to dba. Co tam te dzieci umieją! Dziadkowie i babki tam jeszcze trochę mówią w domu, ale z wnukami się już nie dogadają. Zresztą, kto się tu z tymi staruszkami dogada! Oni mówią po polsku, ale nie tak jak się pisze w książkach, jakaś mowa ze wsi, jakieś takie słowa pół-polskie, pół - niemieckie, bo oni powiadają, że „spod Miemca" ich ojce pochodzili, a do szkoły to chodzili dwa roki we wsi, a później wyjechali i żadnego wykształcenia nie mieli...

— My się już prędzej z nimi zmówimy — wyjaśniała dalej Siostra — bo już wiemy jak z nimi zaczynać. Jak ich zapytać „umiecie po polsku?" — to nie wiedzą, co to jest, jak zagadnąć „rozumiecie", to też nie wiedzą, ale jak ich spytać „a potraficie po polsku?" — to się starowina uśmiechnie i z błyskami w oczach powie: — A jakżeby, potrafiemy, potrafiemy! Tak samo z dziećmi: trzeba je pytać: „potraficie po polsku?", a nie „umiecie".

Teraz chyba jasne, dlaczego mnie te słowa prześladują jak uparta melodia z ostatniego filmu.

A. S.

JAPOŃSKI NIEPOKALANÓW

Niedawny pobyt w Anglii o. Mieczysława Mirochny, franciszkanina polskiego z japońskiego Niepokalanowa, przypomniał Polakom w tym kraju o istnieniu, pracach i potrzebach tej jedynej w swoim rodzaju polskiej placówki misyjnej na Dalekim Wschodzie.

O. Mirochna, misjonarz pełen żarliwości i zapału, odwiedził wiele naszych ośrodków polskich wzbudzając wszędzie żywe zainteresowanie swym opowiadaniem o pracach franciszkańskiej misji japońskiej. Ubolewał, że nie wszędzie zdążył dotrzeć, że nie ze wszystkimi Polakami w Anglii zdołał nawiązać kontakt serdeczny w imieniu polskiej misji w Japonii. Strata z tej racji jest nie tylko po stronie o. Mirochny. Bezpośredni kontakt z tym pełnym samozaparcia i oddanym całą duszą pracy misyjnej człowiekiem był niecodziennym przeżyciem dla wszystkich, którzy go tu poznali i gościli. Odmalowany przez niego obraz prac misji warto przekazać jak najszerzej, zgodnie z życzeniem naszego gościa. Jest to przecież obraz japońskiego Niepokalanowa, powstałego z woli Ojca Maksymiliana Kolbe, przybyłego do Japonii przed 27 laty.

Historia misji dzieli się na trzy okresy, które warto omówić kolejno. Pierwszy — od początku istnienia misji, czyli od roku 1930, do roku 1936, to jest do chwili opuszczenia Japonii na zawsze przez Ojca Kolbego, drugi — od roku 1936 do 1945, więc lata tuż przed wojną i okres wojny, i trzeci — od zakończenia wojny do chwili obecnej.

Okres pierwszy, sześcioletni, od roku 1930 do 1936, jest okresem zakładania pierwszych zrębów misji przez Ojca Kolbego. Były to czasy bardzo ciężkie i trudne, jeśli chodzi o apostolstwo wśród pogan. Ojciec Mirochna opowiada o długich i okrutnych prześladowaniach Kościoła i o tym jak pycha narodowa Japończyków powodowała wielką nienawiść i uprzedzenie do katolicyzmu. Jak często dzieci japońskie rzucały kamieniami na drogach do przechodzących misjonarzy, jak ich obrzucano obelgami, jak wywracano figurkę Matki Bożej ustawioną przed klasztorem, a nawet stłuczono ją kilka razy tak, że musiano ją w końcu przenieść do wnętrza i na dach budynku.

Ale mimo wszystko, chociaż z początku nawrócenia były bardzo nieliczne, jednak praca apostolska zaczęła przecież z czasem wydawać owoce. Poganie zaczęli przychodzić do klasztoru, by patrzeć na ubogie, proste i pracowite życie polskich misjonarzy. Zgłaszać się poczęli kandydaci na katechizację, a „Rycerz Niepokalanej" w języku japońskim osiągnął wówczas nakład 60.000 egzemplarzy, rozchodząc się nie tylko po całej Japonii, ale docierając także do innych krajów, w których przebywali Japończycy.

Sam Ojciec Kolbe pracował nad ludzkie siły mimo wątłego zdrowia: był nie tylko redaktorem „Rycerza", profesorem w diecezjalnym seminarium duchownym, kierownikiem misji i Milicji Niepokalanej, lecz także opiekunem i ojcem Japończyków. Przy wszystkich swych zajęciach znajdował czas także



Tak wyglądał Dom Starców w Nagasaki zanim franciszkanie postawili nowy.



Japońska franciszkanka i chłopcy wychowywani w sierocińcu polskiej misji

na odwiedzanie domów pogan, a nawet samych kapłanów buddystycznych. Nic dziwnego, że po sześcioletnim pobycie Ojca Kolbego imię jego jest znane w całej Japonii, która chlubi się dziś tym, że przez 6 lat gościła u siebie tego świętego człowieka. Wielu modli się o jego wstawiennictwo, a ojcowie franciszkanie do dziś dnia otrzymują listy dziękczynne z podziękowaniem za łaski za wstawiennictwem Ojca Kolbego otrzymane. Ten pierwszy okres działalności misji kończy się z chwilą wyjazdu Ojca Kolbego z Japonii. Odwołali go stamtąd jego przełożeni obawiając się o jego zdrowie, a także dlatego, że był potrzebny w polskim Niepokalanowie.

Lata 1936-1945 to najcięższy okres w życiu misji. Nie jest przesadą mówienie dziś o tym, że w owym okresie były momenty, gdy zanosiło się na zupełną utratę tej placówki misyjnej. Z powodu wojny 50-osobowy zespół japońskiego Niepokalanowa został najpierw pozbawiony całkowicie środków do życia, gdyż ani z Polski ani skądinąd nie można było otrzymać wówczas żadnej pomocy.

Japońskie władze rządowe i wojskowe walczyły stanowczo ze wszystkim co miało jakąkolwiek styczność z zagranicą, i co było katolickie, i dążyły stanowczo do całkowitego zlikwidowania misji. Zażądano od misjonarzy, by odesłali do domów wszystkich Japończyków przebywających w misji, a następnie by odsprzedali maszyny drukarskie i całe urządzenia wydawnicze miejscowym drukarniom, a wreszcie domagano się oddania domów klasztornych do użytku wojska i opuszczenia przez misjonarzy Japonii.

Oczywiście, szczytem grożących zakładowi niebezpieczeństw, była eksplozja pierwszej amerykańskiej bomby atomowej, zrzuconej na Nagasaki w roku 1945. Bomba spadła w centrum miasta, a klasztor, oddzielony tylko górą od miejsca wybuchu, cudownie ocalał. Pod wpływem eksplozji powylatywały wprawdzie prawie wszystkie drzwi i okna, uszkodzone zostały klasztorne ściany, powyrywane dachówki z dachów, zdarzyły się też poranienia rozbitymi szybami, ale nikt nie odniósł większych ran czy oparzeń i wszyscy co do jednego pozostali w klasztorze przy życiu i zdrowiu, a budynki, poza drobnymi uszkodzeniami, zachowały się w stanie możliwym do użytku.

Ojciec Mirochna, a z nim wszyscy franciszkanie i katolicy japońscy, przypisują to cudowne ocalenie wyraźnej opiece Niepokalanej i wstawiennictwu Ojca Kolbego. Przekonanie o cudownej opiece niebieskiej nad misją, jest zresztą powszechne nawet wśród pogan japońskich, którzy zwykli mawiać: „Seibo-no-Kishi wa kiseki nomi de ikimasu" (Rycerz Matki Bożej — tak nazywają Japończycy Niepokalanów w Nagasaki — żyje wciąż tylko samymi cudami).

Okres trzeci — lata od 1945 do chwili obecnej, to okres odbudowywania strat wojny i przygotowanie do dalszej, na większą jeszcze skalę zakrojonej, pracy misyjnej. Misja otrzymuje wówczas pierwszą, po ciężkim okresie, pomoc, najpierw ze strony wojsk amerykańskich w Japonii, a następnie od Polonii w Stanach Zjednoczonych. Odrestaurowano uszkodzone budynki klasztorne i rozpoczęto gorliwą pracę apostolską.

Dziś misja polska w Japonii posiada — razem z domem macierzystym w Nagasaki — 6 klasztorów: trzy w Tokio i po jednym w Osaka i w Kanagai. Franciszkanie polscy prowadzą parafie przy pięciu kościołach japońskich, przy których dokonywana jest codziennie katechizacja pogan. Cztery razy do roku odbywają się Chrzty św. i pierwsza Komunia św. nawróconych. „Rycerz Niepokalanej" nie osiągnął jeszcze nakładu przedwojennego, ale wychodzi obecnie w 30.000 egzemplarzy i co miesiąc dociera do rąk licznych pogan. Przy każdej parafii misjonarze prowadzą przedszkola dla pogańskich dzieci, których uczy się tam razem 700, a przy klasztorze w Osaka jest wielka i piękna szkoła powszechna. Misjonarze pragną otworzyć tam także gimnazjum oraz szkołę wyższą. Prowadzenie szkół pomaga bardzo w pracy apostolskiej, ponieważ często się zdarza, że wraz z dziećmi cała rodzina przyjmuje Chrzest święty.

Pracy apostolskiej pomocne są też bardzo dzieła miłosierdzia, na które jednak potrzeba znacznych środków materialnych. W miejscowości Kanagai, koło Nagasaki, misjonarze założyli osiedle zwane „Seibo-no-Kishi-en", czyli Ogród Rycerza Matki Bożej. Olbrzymi teren tego osiedla otrzymali za darmo i mieszkają tam w tej chwili sieroty, a także ubodzy ludzie starzy. Misjonarze opiekują się też dziećmi najbiedniejszych rodzin japońskich. Jeden z braci Polaków, Zeno Żebrowski, objeżdża ustawicznie całą Japonię, wyszukuje w miastach najuboższych ludzi i pomaga im.

Ta praca charytatywna nie pozostaje bez echa wśród samych Japończyków. Wszystkie prawie dzienniki japońskie informują ustawicznie swych czytelników o pracach „Seibo-no-Kishi", liczne szkoły i uniwersytety urządzają na rzecz misji zbiórki, a o. Mirochna słyszał z ust poważnych Japończyków-pogan zdanie, że chyba nie ma w całej Japonii tak znanego człowieka, jak Zeno Shimpu Sama (ojciec Zeno — bowiem nie rozróżniają kapłana od brata zakonnego i każdego misjonarza nazywają Shimpu Sama — ksiądz, ojciec).

Obecnie misja polska w Japonii posiada 8 kapłanów Polaków, 10 braci zakonnych Polaków, 15 kapłanów-Japończyków, 35 kleryków-Japończyków, 105 chłopców-Japończyków w małym seminarium i 25 braci zakonnych Japończyków. Przed kilku laty założono żeńskie zgromadzenie Japonek pod nazwą „Seibo-no-Kishi Sei Francisuko Shimai Kai" — czyli siostry franciszkanki od Milicji Niepokalanej. Zgromadzenie to liczy 44 siostry Japonki i jest barzo pomocne misjonarzom w ich pracy misyjnej, wychowawczej i charytatywnej prowadząc przedszkola, sierocińce, osiedla i szkółki dla biednych.

Największą troską polskiej misji w Japonii jest sprawa wychowania tubylczych kapłanów, kleryków, braci i sióstr zakonnych. Ważne jest także rozpowszechnienie „Rycerza Niepokalanej" tak, by — zgodnie ze zleceniem Ojca Kolbego — pismo to docierało dosłownie do każdego domu japońskiego.

Misja polska w Japonii ma już także 3 kapłanów Koreańczyków, niedawno wyświęconych i przygotowuje się do założenia nowej misji w Korei, gdzie pragnie wydawać „Rycerza Niepokalanej" w języku koreańskim. Prowadzi się obecnie pertraktacje o zakup terenu pod klasztor w Korei, ale brak jest wciąż kapłanów i braci Polaków, którzy by się tam udali.

✱

Oto historia misji polskich franciszkanów w Japonii. Dzieło wzruszającej żarliwości, bezsprzecznie ważne, godne gorącego poparcia. Będąc w Anglii ojciec Mirochna prosił właśnie o to poparcie Polaków i to w dwojakiej formie: przede wszystkim o pamięć w modlitwach za tę misję polską na Dalekim Wschodzie, a następnie o pomoc materialną, która nigdy nie będzie zbyt duża. Jeżeli więc poświęciliśmy nieco uwagi historii tego wspaniałego dzieła, to warto zapamiętać adres, pod którym trzeba kierować wszelkie ofiary, wszelką pomoc: O. Jan Dobiesław Burdyszek, franciszkanin, Little City of Mary Immaculate, Franciscan Fathers Convent, Nuthbank House, Blockley, Manchester 9.

Kto by zaś pragnął nawiązać kontakt bezpośredni z ojcem Mirochną, może to uczynić pod japońskim adresem: Rev. Miecislaus Maria Mirochna, Seibo-no-Kishi-en, Franciscan Fathers Convent, Kanagai, Mura, Nagasaki-ken, Japan.

Tadeusz Borowicz

* * *

Prospekt styczniowy wskazał te zagadnienia, które stanowią przedmiot specjalnego zainteresowania pisma. Poświęcając im przede wszystkim łamy „ŻYCIA", nie rezygnujemy z notowania zjawisk i wydarzeń, którymi żyje społeczeństwo polskie poza Krajem.

Analizą polityki emigracyjnej i działalności społecznej polskiej emigracji zajmuje się wiele pism. „ŻYCIE" starać się będzie o postawę obiektywnego obserwatora, nie angażując się w spory, chyba, że dotyczyć one będą problematyki zasadniczej.

* * *

Sprawy, które poruszają opinię to: rozwój sytuacji w Kraju i postawa społeczeństwa polskiego poza Krajem wobec smutnych i niepokojących wydarzeń w Polsce; zagadnienie pomocy dla Kraju; ostatnio — koncepcje neutralizacji obszaru Europy Środkowej) i Środkowo-Wschodniej oraz problem „status quo" w związku z możliwościami „spotkania na szczycie".

Linie podziału, których trudno uniknąć w obecnym skomplikowanym okresie („pesymiści" — „optymiści", czy „negatywiści" — „pozytywiści"?), urywają się na ogół na odcinku pomocy Krajowi. Ten niewątpliwie najistotniejszy odcinek działalności emigracji pozostaje jednak niestety w dużej mierze — prócz akcji pomocy materialnej — w sferze planów, pomysłów, pragnień i dorywczych osiągnięć.

Działalność na rzecz Kraju, **akcja pomocy naukowej, kulturalnej, technicznej, informacyjnej itp. dla społeczeństwa w Polsce i dla rodaków z Kraju zagranicą** — cierpi na pewno z powodu nasilenia emigracyjnych sporów, przerostów zajadłego negatywizmu czy sentymentalnych bałamuctw. W ustalaniu stanowiska nie pomagają ostre rozdźwięki, różna treść i bardzo nierówny poziom dyskusji.

Katolickie środowiska są o tyle w szczęśliwszym położeniu, że niezależne koła katolickie w Polsce swoją postawą dają wskazania, a przez pisma i spotkania nawiązuje się dialog, oczywiście nieraz z konieczności niedopowiadany...

* * *

Wśród katolickich publikacji na wychodźstwie wybił się w ciągu paru lat **„Sodalis Marianus"** (Red.: o. S. Skudrzyk, T.J.; wyd. Sekretariat PSM, 39 Fitzjohn's Ave., London, N.W.3).

W numerze styczniowym (układ, ilustracje, papier — bardzo dobre; okładka projektu W. R. Szomańskiego — urocza) — artykuł wstępny Redaktora daje cenne wskazania; o. Skudrzyk zwraca uwagę na niedostateczne wyciąganie przez emigrację konsekwencji ze znaczenia katolicyzmu w Kraju; wartościowe wspomnienie Aliny Ihnatowicz o Biskupie Łozińskim (zainteresowani Jego procesem beatyfikacyjnym są proszeni o komunikowanie się z V. Postulatorem, ks. prał. R. Elstonem-Gogolińskim); W. Zaleski pisze „prowokacyjnie" o społecznej odpowiedzialności chrześcijan.

„Czyn Katolicki" IPAK-u, uprzystępnia systematycznie wskazania Kongresu Światowego Apostolstwa Świeckich. W zeszycie na styczeń: m. in. objaśnianie intencji papieskich („misyjna": „Aby Japończycy uznali uniwersalny walor nauki chrześcijańskiej"!); nota o św. Andrzeju Świradzie-Żórawku — to tylko wyrwane przykłady aktualizacji katolickiej roboty.

Na luty — objaśnienie papieskiej „intencji ogólnej" (by „Najśw. Maryja Panna z Lourdes niosła pociechę i siłę" cierpiącym dla Chrystusa). Warto podkreślić praktyczną użyteczność działu „Krąg Rodzinny".

* * *

W prasie — problematyka krajowa zajmuje wiele miejsca: przykładów naświetleń interesujących, nieraz całkowicie sprzecznych, można wskazać wiele: Rozpędowski i Jordan w **„Kulturze"**, Marzys w **„Merkuriuszu"**, Stypułkowski w **„Myśli Polskiej"**, A. C. i Gamarnikow w **„Robotniku"**, Czaykowski w **„Odgłosach"**...

Styczniowy numer paryskiej **„Kultury"** (1/123-2/124) zawiera, jak zwykle, treść różnorodną i ciekawą.

Na specjalną uwagę zasługują: Herlinga-Grudzińskiego „Zwycięstwo Borysa Pasternaka" (motto: **„Ze mną są ludzie bezimienni, Drzewa i dzieci, domatorzy, I przez to wszystko-m zwyciężony, I tylko w tym moje zwycięstwo"**); Henryka Rozpędowskiego (przybysza z Kraju) „Życie i śmierć Ziemi i Morza"; dra Zbigniewa Jordana „Stulecie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk"; Floriana Śmieji „Przekłady z hiszpańskiego" (cz. II: Przełom XIX i XX w.); opowiadanie Czesława Dobka (krawca, zdobywcy nagrody Komitetu Roku Mickiewiczowskiego) „Free Country".

Nagrodę literacką „Kultury" za rok 1957 zdobył **Czesław Miłosz** (jego „Kontynenty" mają się ukazać niebawem).

Prof. M. K. Dziewanowski sygnalizuje księgę pamiątkową ku czci M. K. Karpowicza, uczonego rosyjskiego, przyjaciela Polski („Russian Thought and Politics", Harvard University Press, 1957). Dr. S. Bóbr-Tylingo omawia pracę prof. Kukiela o Czartoryskim; F. Fejtö pisze o książce Milovana Dżilasa (polskie wydanie: „Nowa klasa wyzyskiwaczy", tłum. J. Mieroszewski, t. XXIII Biblioteki „Kultury").

Nowości Biblioteki „Kultury": t. XXIII — Paweł Zaremba „Historia Stanów Zjednoczonych", t. XXIV — „Aleksander Hertz: „Amerykańskie stronnictwa polityczne (mechanizm demokracji)".

* * *

„Polish Affairs" ma specjalnie odpowiedzialną rolę w okresie żywych zainteresowań sprawami polskimi i podobno sporą poczytność w kołach cudzoziemskich. Charakter „oficjalny" publikacji, jak również szczupłość pisma podyktowana względami oszczędnościowymi ograniczają zakres tematyki, ujęcie tematów i szeregi współpracowników.

Wstępne artykuły Adama Ciołkosza przedstawiają postulaty polskie wobec polityki Zachodu (w styczniowym numerze rysować się zdaje pewna sprzeczność między postulatem „wolnych wyborów pod kontrolą międzynarodową", wysuniętym w artykule wstępnym w związku z planem neutralizacji krajów ESW, a zasadą „nieinterweniowania" w sprawy wewnętrzne zneutralizowanych państw, postawioną jako warunek tego planu w artykule T. Komarnickiego).

Informacje o sytuacji w Kraju, starannie zebrane, uwypuklają przede wszystkim ciemne strony.

Numer grudniowy daje streszczenie ważnego memoriału EZN w sprawie pomocy gospodarczej dla Polski. Styczniowy — w notatniku politycznym przynosi szczegóły o akcji ateistycznej oraz informacje o hierarchii katolickiej w Kraju.

* * *

Walny Zjazd Dziennikarzy w Londynie (25. 1.) zajął się przede wszystkim sprawą wolności prasy w Polsce. Rezolucja protestuje przeciwko „likwidacji „Po prostu", „Przemian" oraz innych pism, niedopuszczeniu do ukazania się „Europy", podporządkowaniu „Sztandaru Młodych" kierownictwu partii komunistycznej, zaostrzeniu cenzury, aresztowaniu dziennikarzy w Warszawie, niedopuszczeniu prasy polskiej i obcojęzycznej z Zachodu..."

Dyskusję w sprawie pisania przez dziennikarzy emigracyjnych do prasy w Kraju, można by streścić zasadą, że nie należy pisać tam, gdzie prawdy pisać nie można.

* * *

Zofia Roszkówna („Znak", listopad 1957) przybliża czytelnikowi w Polsce obraz osiągnięć i prac emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Czytamy tam, że „największym zaufaniem społeczeństwa emigracyjnego cieszą się organizacje społeczno-wychowawcze i religijne, a więc Polska Macierz Szkolna, Harcerstwo i Akcja Katolicka".

Nieco szerzej omawia p. Roszkówna działalność Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, zaznaczając, iż jest on jedyną dotychczas reprezentacją polskiej Akcji Katolickiej w jej organizacjach międzynarodowych. Dalej nieco skąpe dane o Katolickim Ośrodku Wydawniczym „Veritas", informacje o Bibliotece Polish Research Centre, i tylko krótkie notatki o Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO), o Polskim Towarzystwie Naukowym na Obczyźnie, Funduszu Oświaty Polskiej Zagranicą i Polskiej Macierzy Szkolnej.

Warte zanotowania jest końcowe zdanie krajowej obserwatorki: „Ten krótki, suchy przegląd niektórych placówek polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii świadczy o tym, że silniejsze od sporów politycznych jest związanie emigracji z korzeniami kultury narodowej".

To zdanie należałoby wpisać do sztambucha tym wszystkim, którzy w wyolbrzymianych „sporach politycznych" upatrują przeszkody do realnej polskiej pracy kulturalnej na emigracji.

Józef Jastrzębski zmarł w Londynie na serce 14-15 stycznia br. Urodził się w roku 1895 w Małopolsce zach. Studia prawne odbył na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował jako urzędnik w starostwie Bielsko-Biała, redagując jednocześnie „Echo Beskidzkie".

W latach wojennych organizował akcję teatralną dla polskich ośrodków, jako prezes Polskiego Koła Przyjaciół Teatru. W Anglii pracował jako dziennikarz w polskich pismach; był korespondentem „Syreny" paryskiej i „Ostatnich Wiadomości" mannheimskich. Współpracował również z radiem. Jego specjalnym „powołaniem" była obrona czystości języka polskiego; specjalnie walczył z obcymi naleciałościami.

Był czynny w Związku Inwalidów, Dziennikarzy i wielu organizacjach społecznych i zawodowych. Z ramienia Stronnictwa Ludowego zasiadał w TRJN.

PO ŁEPKACH

WSTYD

W ciągu ostatnich paru tygodni aż trzy osoby miały do mnie mniej więcej następującą orację:

— Przede wszystkim tajemnica. Bez absolutnej poufności wszystko może się rozbić. Szykuje się spisy potrzebujących pisarzy, naukowców i artystów na stypendia. Większe niż dawało Free Europe i dla wielu więcej osób.

— Kto to daje? — zadałem wszystkim trzem rozmówcom pytanie.

— Nie wiadomo. Jacyś Amerykanie. W każdym razie więcej niż Free Europe.

— A za co?

— Jak to za co? Za nic! Free Europe też dawało za nic. W każdym razie dadzą więcej niż Free Europe.

— A kto to ma dostać?

— Wszyscy, których się poda. Wielu więcej niż od Free Europe.

Grzecznie oświadczyłem, że aczkolwiek diablo ostatnimi czasy potrzebuję pieniędzy, nie mogąc wyżyć z moich zarobków, dopóki się nie dowiem, kto daje, za co i komu, na żadną listę się nie podam. Dodałem, że proponowanie mi dochodów z niewiadomego źródła i za niewiadome usługi obraża moją godność.

Moi rozmówcy byli bardzo urażeni, jedna osoba nawet przestała do mnie mówić. Lista odejdzie do Stanów Zjednoczonych zapewne bez mojego nazwiska. Wypadłem z „błatu".

Bodajże Niemcewicz opisuje w swoich pamiętnikach, jak pewien polski ułan w strzępach munduru czwartaków zatrzymał pewnego dnia w Hyde Parku spłoszone konie jakiejś lady, ratując ją przed niechybnym upadkiem. Lady wyjęła sutą sakiewkę. Ułan odepchnął stanowczo hojną rękę, po czym wyprężył się na baczność i odszedł w swoją drogę.

Kiedy się czyta książki o czasach wojny, można by mniemać, że wszyscy Polacy zbudowani byli z górskiego kryształu, a ich dusze przelewały się po brzegi godnością i honorem. Gdy dziś się przyglądać zarówno ludziom w Kraju jak i nam na emigracji, wierzyć się nie chce, co się z nami zrobiło! Co się stało z godnością Polaków?

Nie, wcale nie chcę wysuwać twierdzenia, że nie wolno brać pieniędzy od obcych. Wszyscy je na obczyźnie w jakiś sposób bierzemy, skoro żyjemy wśród obcych. Bardzo to subtelne i do niczego nie prowadzące rozróżnienia, kto pośrednio, a kto bezpośrednio, kto za pracę, a kto za usługi, kto z miłosierdzia, a kto za podatki. Żyć trzeba chlebem, a każdy chleb na obczyźnie jest obcy. Pośrednio czy bezpośrednio. To wszakże nie znaczy, aby biorący, jeśli ma zachować ludzką godność, nie wiedział, z jakiego źródła i za co bierze pieniądze. Przecież nigdy nie wiadomo, czy pieniądz nie pochodzi z kradzieży, z paserstwa, z rozboju, z wyzysku, z krzywdy. Nie wiadomo też, jeśli się nie określa wyraźnie usługi, czego za swe pieniądze wcześniej czy później ofiarodawca zażąda. Oczywiście, człowiekowi nieuczciwemu, np. złodziejowi, jest gruntownie obojętne, z jakich źródeł czerpie pieniądze. Podobno wśród tych sfer panuje nawet rodzaj snobizmu na punkcie pochodzenia pieniędzy: z im gorszych źródeł, tym lepiej. Człowiek uczciwy powinien jednak mieć pewną wybredność. To są fundamenty ludzkiej godności — i kwita. Z każdym, kto jest innego zdania, szkoda gadać. Bo to miałoby taki sam cel, jak rozważanie, dlaczego kradzież, albo obmowa, albo zdrada są niewłaściwym sposobem postępowania.

Owszem, pomoc intelektualistom polskim jest potrzebna. Emigranci albo pieniędzy nie mają albo nie chcą wydawać. Minęły czasy mecenatu. Artysta jednakże, pisarz czy uczony także żyć musi, choć nikt nie chce kupować jego towaru. Ale kultura jest wspólną własnością wszystkich obywateli świata. Polscy emigranci są dziś na Zachodzie szeroko znani jako uczeni, odkrywcy, technicy, wychowawcy, artyści. Państwa i społeczeństwa zachodnie cenią ich dla własnego dobra. Jeśli im płacą, inwestują we własną kulturę. Także polityczne usługi polskie są Zachodowi potrzebne. Zlecając odpowiednie prace Polakom Amerykanie, Anglicy czy Francuzi słusznie ich wynagradzają. Byłoby ideałem, gdyby rządy i społeczeństwa zachodnie zatrudniły wszystkich polskich pisarzy, artystów i naukowców, żądając od nich konkretnej pracy. Również i wszelkiego rodzaju stypendia nie mają w sobie nic nieuczciwego, jeśli się wyraźnie podkreśli, kto, komu i za co. Cóż stoi na przeszkodzie owym tajemniczym instytucjom amerykańskim, aby ogłosić w pismach wielkimi literami, iż chcą dać, tak jak np. daje Komitet Oświaty dla Polaków w W. Brytanii, tysiąc stypendiów dla polskich malarzy, pisarzy, humanistów itp. Za ściśle określoną w umowie indywidualnej pracę. I z wyraźnym podpisem, kto stypendiów udziela. Cóżby w tym było niemoralnego?

Niestety, dotychczasowa praktyka była, i nadal pozostaje pokątna. Rozdawano stypendia nie wiadomo bliżej wedle jakiego klucza i za co. Prawdopodobnie drogą „błatu" i kumoterstwa. Obok zasłużonych i istotnie potrzebujących pisarzy i naukowców brali również garściami pieniądze niedopieczeni literaci, różni złoci młodzieńcy i tłumek publicystów-„poszukiwaczy" (od wyrazu „research"). Potem zaś jakiś tam departament stanu miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku, że pomógł polskim intelektualistom. Teraz, gdy Free Europe odmówiło finansowania ekipy wyżej wspomnianych szczęśliwców, przychodzi kolej na nową zmowę. Po kątach, cichcem, do ucha. Nie wiadomo, od kogo, za co i komu. Wiadomo doskonale tylko jedno: że więcej i dla wielu więcej niż od Free Europe.

Dlaczego się o tym wszystkim piszę? Nie tylko z zazdrości. Cóż łatwiejszego, jak przystać do „błatu" albo odpowiedniej osobie i w odpowiednim miejscu zgiąć kręgosłup! Smutek całej sprawy polega natomiast na tym, że ofiarodawcy nie rozróżniają między bardziej i mniej wymagającymi Polakami, uważając widać, że wszystkich można kupić za zwitek dolarów. Dochodzi do tego, iż płacący nie fatygują się wcale z odkrywaniem źródeł pieniędzy i z wysuwaniem jakichkolwiek żądań za nie. Dają na milcząco jak żebrakom albo natrętom. A najgorsze w tym wszystkim to, że Amerykanie i w ogóle narody zachodnie urabiają sobie odpowiednią opinię o Polakach i o ich szczytach intelektualnych.

Kiedyś, gdy Polska po zaborach i powstaniach straciła wszystko, pozostał nam tylko jeden, często wyszydzany, skarb: honor. Ten honor ocalił nas od roztopienia się w obcych morzach i na tym honorze odrodziło się państwo. Honor towarzyszył nam aż do ostatniego wystrzału w drugiej wojnie światowej i do ostatniego pocisku walczącej Warszawy. — Teraz mamy inną walutę.

J. B.

Książki

„KONTRA"

Polacy litewscy — bo przecież nie żadni Litwini — posiadają niezwykłe uzdolnienia literackie. W Kraju słynie dziś sporo nazwisk litewskich, a na emigracji jakież są w literaturze przedniejsze nazwiska od Miłosza, Wańkowicza, Józefa, a był czas że i Stanisława, Mackiewiczów, kiedyś również braci Pruszyńskich? Łączy ich wszystkich pewna wspólna cecha: dzieła ich biorą początek z celi Konrada. Nie uznają żadnego tematu poza losem zbiorowym ojczyzny, swoiście pojmowanym. Nas, z innych części Rzeczypospolitej, w tej miłości i jej pojmowaniu razi uparty regionalizm i coś nawet jakby drobnoszlachecka prywata (tak, prywata!), lecz imponuje żarliwość i nieustępliwość.

„Nazywam się Milijon — bo za milijony
Kocham i cierpię katusze."
„Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie;
Rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie: —
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tym się uszczęśliwią,
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną."

Pisarze z Litwy wprzęgli więc literaturę w służbę polityczną bardziej niż inni Polacy. Nie zaniedbując doskonałego rzemiosła literackiego, uznali, że piśmiennictwo musi służyć najważniejszym sprawom narodu i uczestniczyć w jego bieżących troskach. Upolitycznili literaturę piękną.

Dziś tak pisze przede wszystkim Józef Mackiewicz, z pozoru trochę jak ów Sokrates-Sylen z Rabelais'go. Z zewnątrz „grubaśny w obyczajach, niechlujny w odzieży, ubogi w dostatki, niefortunny u płci białej, niezdatny do publicznych urzędów, zawżdy pośmiechujący się", a wewnątrz „niebiański i nieopłacony specyfik". Z pozoru więc nie statysta, ani nie artysta, ot sobie szlachcic na sejmiku i gawędziarz. Zabiera się zawsze do rzeczy niby to nieporadnie, z waszecia, zajmując się błahymi i miałkimi sprawami oraz prostymi ludźmi. Jest jednak jakaś niezwykła siła w regionalizmie, zastosowanym do literatury. Pisarz, który umie się pochylić najniżej, odsłania najszersze horyzonty. Ten, który umie wysłuchać najcichszej ludzkiej skargi, odzywa się głosem najdonioślejszym. Tak też i chaty białoruskie, woźnice i drwale Józefa Mackiewicza, jego proletariat wileński posiadają posągowość uniwersalnych postaci, gesty rzeźb klasycznych. Mackiewicz na pierwsze wejrzenie nie posiada nic z artysty. Ma jednak swój własny język, którego się nigdy nie wyrzeka. Podobnie jak swoich przekonań.

Nawarstwione wiekami klęski i nieszczęścia, pożary, rozboje, przywłaszczenia, krzywdy, gwałty, mężobójstwa, wrogość nieustępliwa udeptały w duszach ludzi z kresów północno-wschodnich twarde klepisko, będące podstawą każdego myślenia i czucia: to nienawiść do Rosji. Nie zaczepna, napastliwa, ale taka, jaką człowiek zachowuje wobec zła: nieprzejednana. Ta nienawiść leży u spodu wszystkich idej Mackiewicza, ale u niego przebiera się już miara.

Książka pt. „Kontra", wydana z wielką i godną odwagą jako tom XX „Biblioteki Kultury", ma też za podstawę tę nieprzejednaną nienawiść. Poza Rosją nie ma na świe-

*) **Józef Mackiewicz KONTRA. Biblioteka „Kultury", t. XX. Instytut Literacki, Paryż 1957. Stron 276.**

cie w pojęciu Mackiewicza innego zła. Nawet z diabłem można iść, byle nie z Rosją sowiecką. Z diabłem rzeczywiście Józef Mackiewicz proponuje różnym narodom przymierze w książce „Kontra".

Jest to jedna z najmocniejszych literacko pozycji piśmiennictwa emigracyjnego. Tragedia Kozaków i narodów kaukazko-kaspijskich, Kałmuków, Czerkiesów, Karaczajów, Bałkarów, Osetyńców, Dagiestańców, Karabdyńców, Ingusów, Czeczeńców, Azerbejdżańczyków i Gruzinów, zorganizowanych przez Niemców na prawach sojuszników w koczownicze obozy zbrojne po zajęciu ich terenów przez armie hitlerowskie, a potem, po klęsce niemieckiej, wydanych przez armie sprzymierzone Sowietom. O ścisłe fakty historyczne i badania źródłowe oraz relacje ważniejszych bohaterów dramatu osnuł Józef Mackiewicz plastyczną fabułę rodzinną, czyniąc z historii pasjonujący romans. Podobnie jak „Droga donikąd" jest to więc współczesna powieść historyczna.

„Kontra" wypowiada bez ogródek bardzo smutne prawdy o obozie sprzymierzonych, które przecież i nam nie są obce. Amerykanie i Anglicy tak samo wydali Kozaków i Azerbejdżańczyków pod władzę sowiecką jak i połowę ludności Polski. Przypomnienie losu tych narodów jest zasługą polskiego pisarza. Niestety, Józef Mackiewicz nie umiał dostatecznie odciąć się od proniemieckiej i prohitlerowskiej orientacji narodów imperium sowieckiego. Głosi on mniej więcej taką tezę: głupi Niemcy, nie umieli wykorzystać wiary w nich różnych ludów wschodnich. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Niemcy byli mądrzejsi i wraz z narodami Wschodu pokonali nie tylko przecież Rosję... Kozacy uśmierzali przecież także powstanie warszawskie. Teza książki „Kontra" jest więc zdecydowanie niesłuszna: diabła nie da się stanowczo przepędzić belzebubem. A dla nas oczywiście lepiej, że Kozacy przegrali wojnę z Niemcami, niż żeby ją mieli z nimi wygrać. **J. B.**

„JESIEŃ POLSKA"

Piękną książkę wydać to trudna i złożona sprawa. Pięknych książek polskich na obczyźnie wychodzi znikoma ilość. Za piękno często poczytuje się jego oderwane składniki: papier, czcionkę, ozdobniki. Ale piękno to harmonia wszystkich elementów. Zanim się więc orzeknie o książce, że piękna, trzeba się uważnie przyjrzeć, poza treścią, i jej układowi, i papierowi, i czcionce, i tłoczeniu, i ilustracjom, i ozdobnikom, i oprawie. Nic dziwnego tedy, że doskonała książka polska na emigracji trafia się jedna na setkę. Są jednak książki lepsze i gorsze.

„Jesień polską" Ireny Paczoskiej, z ilustracjami S. Bahrynowskiego, a wykonaną na kolorowych planszach ofsetowych, można by nazwać próbą książki doskonałej. W całym dziele znać duży wysiłek i wytężoną ambicję, aby stworzyć prawdziwie piękną książkę. Istnieje wiele legend na temat nieposkromionej ambicji, a wszystkie nieodmiennie mówią o klęsce. „Jesień polska" wyszła wprawdzie spod wielu atmosfer ambicji na ogół zwycięsko, ale nie bez szwanku. Zostawiając na razie na boku ocenę artystyczną tekstu tej książki dla dzieci, jak też i jej ilustracji, trudno bez zastrzeżeń przyklasnąć wszystkim jej elementom. Papier ofsetowy, rzecz jasna, elegancki, okładka dobra, lecz niedotłoczona i poplamiona farbą od strony „podszewki". Tylna strona „podszewki" przyklejona do ostatniej strony tekstu, czego nie wolno robić w wydawnictwie luksusowym. Nie wiadomo też, dlaczego na odwrocie niektórych ilustracji — niesłusznie! — wydrukowano teksty, a na innych — słusznie! — nie. Zgrabne, choć małe inicjały. Przyjemne ozdobniki, zwłaszcza na „podszewce". Ładna czcionka, zarówno tekstowa jak i tytułowa. Linie wierszy tu i ówdzie (strony 15, 31) załamane.

Że kolorowe plansze wyszły za blado, to jeszcze nie najgorsze: ich pastelowość wywiera wrażenie zamierzone. Gorzej z konturami. Nie wszystkie formy ofsetowe pasowały do siebie, skutkiem czego niektóre rysunki wyszły zamazane.

Barwność i anegdotyczny realizm są podobno podstawą sztuki malowania dla dzieci. Obu tym zasadom hołduje gorliwie S. Bahrynowski w „Jesieni polskiej". Jako zepsuty stary czytelnik wolę wszakże bardziej odrealnione plansze (np. z trzema ptakami oraz z kluczem ptaków nad wioską). Poza tym blade odbitki ofsetowe nadały nieoczekiwanych walorów ilustracjom „Polskiej jesieni", jakby je przysłaniając mgiełką marzenia.

Wreszcie tekst. Irena Paczoska jest inteligentną poetką o zamiłowaniu do bajkopisarstwa. To niezmiernie trudny i bardzo su-

---

*) Irena Paczoska **POLSKA JESIEŃ. Ilustrował S. Bahrynowski. Nakładem autorki. Londyn 1957. Stron 50, w czym 11 plansz wielokolorowych na papierze ofsetowym. Twarda okładka ilustr. wielobarwna.**

Opera

„KARMELITANKI"

W londyńskiej operze Covent Garden święcą ogromne powodzenie od Nowego Roku „Karmelitanki", operowa wersja „Dialogów karmelitanek" G. Bernanosa.

Pomysł sztuki zaczerpnięty jest ze zdarzenia prawdziwego: w roku 1794, w czasie rewolucji francuskiej, szesnaście karmelitanek z Compiègne zginęło na szafocie w białych płaszczach swojej reguły, śpiewając psalm 116 „Laudate Dominum omnes gentes". Beatyfikacji Męczenniczek dokonał Pius X. To wydarzenie z dziejów Kościoła francuskiego opracowała literacko Gertruda von Le Fort w opowiadaniu „Die Letzte am Schaffott" („Ostatnia na szafocie"). Po wojnie o. R. V. Brückberger i Filip Agostini opracowali filmowy scenariusz tego tematu. Szlifu literackiego dokonał i teksty doń dopisał Georges Bernanos. W ten sposób powstał wielkiej mocy i sugestywnego piękna dramat, wykończony przez autora jako jego ostatnia praca, a rychło też wystawiony najpierw w Szwajcarii (1950), potem z niezwykłym powodzeniem we Francji i w wielu innych krajach świata. W Paryżu „Dialogi" nie schodziły z afisza teatru Hébertot przez dwa lata, ściągając na 700 przedstawień tłumy zarówno treścią sztuki, uznanej we Francji za najlepszą po wojnie, jak też grą zespołu i reżyserią Alberta Béguin, powiernika ostatnich zamierzeń twórczych Bernanosa. Niedawno wznowiono „Karmelitanki" w Paryżu.

Francuz Franciszek Poulenc, muzyk starszy i znany, lecz dotąd nie posiadający za sobą szczególnie doniosłych pozycji, skomponował w ciągu lat 1953-55 operę na tle sztuki Bernanosa, sam do niej układając libretto i nie wychodząc poza oryginał. Prawa do tej opery nabyli wydawcy Verdiego i Pucciniego — G. Ricordi. Prapremierę opery grano w styczniu 1957 w La Scala w Mediolanie. Po Włoszech przyszła kolej na Paryż i Londyn. Reżyseria i dekoracje oraz stroje są w Londynie tego samego autorstwa co w Mediolanie.

Puentą opowiadania Gertrudy von Le Fort, niewykorzystanego scenariusza filmowego, sztuki Bernanosa i opery Poulenca jest scena ścięcia karmelitanek przez gilotynę. Ale Bernanos poprzedził ją głębokim i bogato rozwiniętym dramatem młodej postulantki, z arystokratycznego domu Blanki de la Force, który by można nazwać dramatem strachu przed śmiercią. Był to także dramat życia Jerzego Bernanosa, nic więc dziwnego, że pisarz tchnął w swą sztukę całą moc wiary i myśli. Dramat Blanki jest właściwie tylko pozorem dla dramatu Bernanosa. Dlatego też piękno tej sztuki nie tłumaczy się wartościami uznanymi tradycyjnie za sceniczne. „Dialogi karmelitanek" to bowiem raczej traktat o śmierci chrześcijańskiej.

„Dialogi" pięknie przetłumaczyła ostatnio i ogłosiła w zeszytach „Znaku" (nry 37-40) Maria Morstin-Górska.

Poulenc potraktował dramat Bernanosa w librecie swej opery z dużym pietyzmem. Może nawet do przesady, gdyż zrezygnował z nieprzebranych możliwości muzycznych scen zbiorowych i rewolucyjnych, idąc wiernie za tokiem dramatycznym sztuki w najdrobniejszych szczegółach. Zachował rysunek psychologiczny wszystkich postaci i szereg scen drugorzędnych. Wprowadził do opery tylko cztery pieśni chóralne, m. in. „Ave Maria" o zaprawdę anielskiej melodii. „Salve Regina", śpiewana przez karmelitanki w drodze na szafot, jest oczywiście szczytową w całej operze i posiada urzekającą siłę wzruszania widowni.

Przedstawienie londyńskie odznacza się przede wszystkim godną podziwu dbałością o każdy szczegół. Zbytecznie podkreślać staranność opracowania muzycznego przez orkiestrę i chór opery Covent Garden, pod batutą Rafała Kubelika, ale trzeba ocenić doskonałą w każdym szczególe kulturalną reżyserię Margerity Wallmann, dekoracje, w miarę monumentalne, w miarę funkcyjne, Jerzego Wakhevitscha, zwłaszcza zaś niezwykle trafny i zindywidualizowany dobór głosów. Dzięki reżyserii i indywidualizacji głosów „Karmelitanki" w londyńskiej inscenizacji są zarówno doskonałą operą jak i scenicznym dramatem.

Miesięcznik „Music and Musicians" nadał żartobliwie drugi tytuł „Karmelitankom" w Covent Garden, nazywając je „Australijkami". Aż cztery bowiem role powierzono Australijkom, a dwie Australijczykom. Podobno śpiewaczki-australijskie są katoliczkami. Pierwsze miejsce w tym koncercie przypadło 29-letniej Joan Sutherland, nowej przeoryszy, matce Maryi od św. Augustyna. Przybyła ona do Londynu w roku 1951, a debiutowała tu w operze w rok potem. Występowała z powodzeniem w wielu mniej popularnych przedstawieniach operowych, a prawdziwie wielki jej sukces to właśnie dopiero „Karmelitanki". Głos nadzwyczaj jasny i szlachetny. Drugie miejsce trudno by przyznać sprawiedliwie, gdyż z równym powodzeniem mogłyby się o nie ubiegać dwie Australijki: siostra Blanka od Konania Chrystusa (Elsie Morison) i matka Maria od Wcielenia (Sylvia Fisher) oraz Angielki: matka Henryka od Jezusa (Jean Watson) i siostra Konstancja od św. Dionizego (młodziutka Jeanette Sinclair).

J. B.

rowy rodzaj, wymagający od autorów niemal heroicznej prostoty obrazów i myśli. Wszelkie zawikłania, niejasność, niekonsekwencja, wielowątkowość i zbyt jaskrawe nieprawdopodobieństwo każdą bajkę wywracają jak domek z kart w oczach dzieci. Dzieci bowiem wiedzą, że domki buduje się z kart, domagają się jednak przy tym, żeby stały jak prawdziwe. Dziecko szuka złudy i to jest istota bajki.

Dobrym wierszem pisane bajki Ireny Paczoskiej są za bardzo inteligentne, aczkolwiek niektóre, jak np. „Leśne narady", nie pozbawione też prostoty. A wszystkie ogromnie polskie.

„Jesień polska", chociaż nie jest książką doskonałą, należy do najpiękniej wydanych na obczyźnie. Dzieciom trzeba dawać do rąk takie właśnie, bardzo piękne książki, które kształtują ich smak estetyczny na całe życie. Po im ładniejszą książkę sięga dziecko, tym piękniejszej będzie potem pragnąć, gdy dorośnie.

„Jesień polska" budzi smak na prawdziwie piękną książkę polską. Pierwszą zasługą autorki jest to, że do najwłaściwszych rąk dzieło swoje skierowała.

J. B.

KATOLICY MYŚLĄ

„The Dublin Review" (nr 474, zima 1957); pod redakcją Michael Derrick'a (wydawca: Burnes & Oates, London) jest poświęcony działalności **Newman Association.** Katolicy polscy znają dobrze tę organizację, która jest „kolegą" PKSU Veritas w Pax Romana, gdzie reprezentuje seniorów brytyjskiej katolickiej inteligencji z wykształceniem uniwersyteckim.

Numer — książka o 197 stronach — stanowi imponujący dowód żywotności stowarzyszenia i poziomu pracy intelektualnej. Artykuły są odczytami wygłaszanymi na zebraniach N.A. w różnych ośrodkach brytyjskich. Gdy były przygotowywane i wygłaszane, ani organizatorzy, ani prelegenci nie wiedzieli, że odczyty ukażą się w druku. Oto niektóre artykuły-wykłady: „Humanizm i pokora: dola człowieka i przeznaczenie" — prof. A. A. Parker, hispanista, uniwersytet londyński, b. prezes koła londyńskiego N.A.; „Duch Święty w historii: rozważania nad rozwojem doktryny chrześcijańskiej" — dr J. Scarisbrick, lektor historii, uniwersytet londyński; „Środki komunikacji: I Strona moralna, II Kryzys światowy" — R. Haynes i D. Nicholl, lektor historii, uniwersytet staffordzki; „Akcja katolicka i amerykańskie mieszczaństwo" — prof. M. P. Fogarty, socjolog i ekonomista, uniwersytet w Cardiff; „Kościół i Islam" — prof. R. C. Zaehner, specjalista wschodnich wierzeń, uniwersytet w Oksfordzie, i dr M. Daniel, islamista; „Prawda i sprawdzalność w psychologii" — C. Batten, organizatorka kursów dla dorosłych w londyńskim kole N.A.; itd. itd.

Wśród recenzji, K. McDonnell, hon. sekr. N A., omawia książki dotyczące zagadnienia Apostolstwa Świeckich. O broszurce **dr. F. Aylwarda,** znanego promotora katolickiej działalności międzynarodowej (**„Fifteen years of International Co-operation, A survey of work of the International Committee of the Newman Association of Great Britain, 1942-57")** pisze członek Komitetu Międzynarodowego N.A., S. Grocholski, podkreślając zasługi stowarzyszenia i jego akcję na rzecz Polski

Słowo o przyjacielu

Napisał **WOJCIECH DŁUŻEWSKI**



Andrzej Żyliński, przedwcześnie zmarły w Londynie 24. 1. 1958, urodził się 2. 5. 1909 w Warszawie. Szkołę średnią i uniwersytet (wydział prawa) kończy w stolicy, po czym odbywa aplikanturę i wchodzi do palestry warszawskiej. W roku 1939 z 11 pułkiem ułanów wyrusza na wojnę.

Por. Żyliński przeprowadza śmiały patrol pod Pułtuskiem. Później, dowodząc wielką grupą kawalerii, w udanej szarży nocnej zaskakuje oddział niemiecki i zadaje mu poważne straty. Za akcje te uzyskuje dwukrotnie Krzyż Walecznych.

Kampanię wrześniową kończy niezwykłym epizodem: wzięty do niewoli przez wojska sowieckie zostaje skazany na śmierć. Skazańcy, przed rozstrzelaniem muszą kopać wspólną mogiłę. Żyliński pyta nadzorujących żołnierzy, czy mógłby przed śmiercią pożegnać się z koniem. Następuje przerwa, rozmowa o walkach z Niemcami i nieoczekiwany zwrot: każą skazanym uciekać. Zaraz wprawdzie rusza obława, ale Andrzejowi udaje się zmylić pogoń i ujść z życiem.

Drogą przez Węgry dzieli losy żołnierzy-tułaczy. Bierze udział w organizacji Armii Polskiej we Francji, potem w Anglii (pociągi pancerne). Gdy Brytyjczycy zwrócili się do władz polskich z propozycją zaangażowania oficerów do służby w Afryce, Andrzej Żyliński zgłasza się ochotniczo, „by rozsądniej wykorzystać czas oczekiwania". Dwuletnia służba daje mu ciekawe doświadczenia i znajomości, przy pomocy których szybciej dojdzie po wojnie do usamodzielnienia się jako „solicitor".

Skoro tylko rozwój PSZ na Bliskim Wschodzie otwiera możliwości, rotm. Żyliński otrzymuje tam przydział. Służy w dowództwie II Korpusu, jako oficer łącznikowy do jednostek brytyjsich i amerykańskich.

Po zakończeniu działań zostaje wysłany do Austrii, aby działać w obronie praw uwolnionych kacetowców, dipisów i jeńców wojennych. Pełni funkcje oficera łącznikowego w Salzburgu. Otrzymuje odznaczenia: polskie, angielskie, amerykańskie.

Jeszcze w mundurze wojskowym rozpoczyna najpierw bezpłatną praktykę, a potem pracuje w firmie solicitorskiej, tworząc tam polski dział. Jako jeden z pierwszych Polaków, po zdaniu egzaminów i praktyce, otwiera własną, dobrze znaną Polakom w Londynie, kancelarię „A. Żyliński & Co., Solicitors".

Przez jego pokój na poddaszu przy Strandzie, a potem przez gabinet na 40 Welbeck Street, przesuwały się polskie troski, stare biedy i nowe pomysły. Otrzymywaliśmy tu nie tylko wyjaśnienie sytuacji prawnej, ale roztropne, życzliwe, rozumne rady dobrego przyjaciela.

Andrzej Żyliński, jak na katolika przystało, głęboko pojmował swoje powołanie prawnicze. Nie był politykiem, ani głośnym działaczem społecznym, ale przez należyte wykonywanie swego zawodu był pomocą polityków polskim, działaczom społecznym i kolegom prawnikom — każdemu, kto go potrzebował. Ileż dobrego zrobił bezinteresownie ludziom i instytucjom!

Cichy i dyskretny, gdy trzeba było, sam zaofiarowywał swą pomoc. Był nie tylko radcą prawnym, ale przyjacielem Fundacji Veritas. Oddał przyjacielskie usługi nowopowstającemu kolegium, księży marianów w Fawley Court. Był jednym z promotorów Towarzystwa Przyjaciół Fawley Court. Pomagał skutecznie przy tworzeniu Polskiego Towarzystwa Dobroczynnego, administrującego nieruchomościami parafii polskich w Anglii. Należałoby wymienić długą listę procesów społecznych, z których najgłośniejszymi były chyba udane procesy o odmrożenie sum polskich w War Office. Czasem mawiał żartobliwie, że jest złym solicitorem, bo wszystkich swych klientów przestrzega przed procesami. Uważał, że lepszy jest gorszy układ polubowny szybko, niż kosztowny proces i wygrana — po miesiącach strat. Odważny osobiście, był zawsze ostrożny, gdy chodziło o dobro innych. Troskliwy o swego klienta, umiał myśleć kategoriami przeciwnika i wczuwać się w jego sytuację, by znaleźć sprawiedliwe i roztropne wyjście dla stron obu.

W pracy zawodowej był artystą. Nie znosił bowiem tandety, blagi, reklamy. Jak prawdziwy artysta kochał prawdę i jej służył. — Ci, co go znali bliżej, wiedzieli jakiej to klasy człowiek; przyjaciel zawsze pogodny, zawsze życzliwy.

Zapalony sportowiec, znajdował czas, by się wyrwać w góry na narty, by wymknąć się na kort tenisowy, czy basen pływacki. Pasjami lubił polowanie i konną jazdę.

Do cnót osobistych, zawodowych, obywatelskich, politycznych, żołnierskich dodać trzeba cnoty rodzinne: dobrego syna, męża, ojca. Dramatem jego ostatnich tygodni była troska o przyszłość najbliższych. Bohaterski spokój i optymizm szarpane były niepokojem o ich los... Zostawił w spadku rodzinie wielki kapitał, jaki stanowią dobre imię i wdzięczność u ludzi.

Wojciech Dłużewski

Przyjaciele z Fundacji i K. O. W. „Veritas" zamiast kwiatów na trumnę, zainicjowali zbiórkę na tzw. „gregoriankę" — **30 Mszy św. za duszę zmarłego.**

Msze św. są odprawiane w klasztorze oo. kartuzów (można składać dalsze ofiary).

Ewolucja i dobór naturalny

Tyrania opinii publicznej jest nieraz może równie nieodparta, jak tyrania siły. Jest to szczególnie widoczne w nauce. Oczywiście, w zasadzie każdy uczony ma pełne prawo swobodnego wypowiadania swych poglądów, w praktyce jednak uczony, który odważa się wystąpić przeciw uświęconym tradycją i powszechnie przyjętym teoriom, uchodzi za „oryginała", dziwaka sprzeciwiającego się nie mogącym przecież ulegać wątpliwości teoriom, aby się wyróżnić, lub też z powodu swego nieuctwa. Poglądy jego, owszem, drukuje się w pismach naukowych, ale przechodzi się mimo nich ze wzruszeniem ramion.

I temu właśnie często zawdzięczają mocno przydługi żywot teorie powstałe na podstawie małej tylko ilości faktów, ale za to odpowiadające ogólnemu kierunkowi myśli naukowej swej epoki i wypełniające luki w opartym na nim światopoglądzie.

Taką właśnie teorią jest teoria doboru naturalnego w ewolucji. Fakt ewolucji, czy ściślej mówiąc transformizmu, nie może ulegać wątpliwości. Wykopaliska wykazują nam wyraźną linię przemian, a obserwacje, niezaprzeczalnie wskazują na zjawisko mutacji, w pełni potwierdzone zwłaszcza dziś, gdy umiemy przez odpowiednie naświetlenie tempo mutacji wielokrotnie przyspieszyć. Teoria więc, że mutacje są jednym z czynników ewolucji, ma swe pełne poparcie w faktach. Twierdzenie jednak, że są one czynnikiem jedynym, jest tylko pochopnym uogólnieniem stanowczo zbyt szczupłej ilości obserwacyj. A cóż dopiero pytania, co kieruje tymi mutacjami, dlaczego jedne mutacje utrwalają się, a inne giną, jaki jest mechanizm prowadzący ewolucję od istot jednokomórkowych aż po ssaki i rośliny kwitnące. Odpowiedź na nie zawiera tyle wątpliwości, tyle niewiadomych, tyle hipotez ad hoc, że można o nich mówić jedynie jako o podstawie badań, jako o hipotezie roboczej, w żadnym zaś wypadku jako o mocno na faktach ugruntowanej teorii.

Mimo to jednak teoria doboru naturalnego znalazła tak powszechne uznanie wśród biologów, że do lat niedawnych uczony, który by ośmielał się wyrazić pod tym względem wątpliwości, byłby wyśmiany i zakrzyczany. Wynikało to być może — początkowo ze świadomego, później z nieświadomego — materialistycznego klimatu epoki, gdyż zwolennikom tego poglądu wydawało się, iż wprowadzając dobór naturalny jako mechanizm ewolucji, wypierają Boga z przyrody. Jak gdyby to nie ten sam Bóg, którego wola jest podstawą praw przyrody, jak to powiedział jeszcze św. Ambroży z Mediolanu, był zasadniczą przyczyną wszystkiego co na świecie się dzieje, czy to będzie mutacja, czy też i dobór naturalny.

Wystąpienie prof. Gooda. Tymczasem, choć niemal traktowana jako tabu teoria doboru naturalnego ma tyle luk, tyle wątpliwości, ba nawet tyle faktów sprzecznych z nią, że jedynym prawidłowym wnioskiem z faktów byłoby twierdzenie, iż dobór naturalny jest jednym, ale bynajmniej nie jedynym czynnikiem ewolucji. Z przyjemnością więc zanotować należy niedawne wystąpienie w BBC profesora botaniki na uniwersytecie w Hull, Gooda, który rzucił wyzwanie teoriom doboru naturalnego — w swoim przynajmniej zakresie. Wszystkie obserwacje, na których opiera się teoria doboru naturalnego, mówi on, są wyłącznie oparte na faktach z zakresu życia zwierząt, brak natomiast jakichkolwiek przesłanek wysnutych ze świata roślin. Tymczasem rośliny, choć mają inny sposób życia niż zwierzęta, tym niemniej są tak samo istotami żywymi, jak i one. Mają nad nimi nawet tę przewagę, że mogą wszystkie potrzebne im do życia substancje wytwarzać same, posługując się tylko solami mineralnymi, wodą i światłem słonecznym. Ich niższością jest oczywiście niemożność ruchu, a więc i swobodnego doboru otoczenia. Muszą więc żyć tam, gdzie przypadek je zaniósł.

Ale właśnie ten fakt jest poważnym argumentem przeciw teorii doboru naturalnego. Mutacja może wytworzyć zwierzę, które, przenosząc się w nowe, bardziej mu odpowiadające otoczenie, stanie się „pierwszym krokiem" ku nowemu rodzajowi. Roślina uczynić tego nie może, a że warunki zewnętrzne ewolują bardzo powoli, toteż trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek pojedynczą mutację, która by stanowiła czynnik dający odmianie zmutowanej przewagę nad osobnikami nie zmutowanymi. Jest to tym bardziej słuszne, że życie roślin, to nie tylko walka, ale i współdziałanie z innymi osobnikami własnego gatunku, a nawet i gatunków obcych. Nie zaobserwowano dotąd w świecie roślin — mówi prof. Good — ani jednego przykładu mutacji, która by mogła wyjaśnić ewolucję, przenoszenie więc prawa doboru naturalnego ze świata zwierzęcego na świat roślinny nie jest niczym uzasadnione.

A jednak niewątpliwie widzimy nieustanny łańcuch rozwojowy roślin od istot najprostszych ku wyżej ukształtowanym, widzimy nieomal nagłe pojawienie się nowych grup, zupełnie odmiennych od poprzednich, możemy stwierdzić początek roślin kwitnących, choć, zdawałoby się, przedtem nic nie zapowiadało ich pojawienia się, w szczegółach nawet widzimy łańcuchy przemian wyraźnie i bezspornie jednokierunkowych.

Czym więc, pyta prof. Good, uzasadnić tę ewolucję? Jeśli nie dobór naturalny, to pozostaje, mówi on, jedynie ortogeneza, rozwój w pewnym, określonym, jednolitym kierunku, a więc rozwój prawidłowy, idący po wyraźnej linii, a nie zygzakowaty, przypadkowy rozwój teorii doboru naturalnego. Co jest przyczyną tej ortogenezy, jaki jest mechanizm jej działania, tego dotąd nie wiemy. Zamiast jednak skupiać wszystkie wysiłki na poszukiwanie przesłanek dla poparcia teorii doboru naturalnego, która przynajmniej w świecie roślinnym, nie znajduje oparcia w faktach, czyż nie lepiej wziąć za podstawę hipotezę roboczą ortogenezy, pyta profesor Good, i rozpocząć badania po jej linii?

Trudno oczywiście oczekiwać, aby opinia prof. Gooda zadała cios śmiertelny teoriom o wyłączności doboru naturalnego, jako mechanizmu ewolucji. Głos jego jest jednak o tyle znamienny, że dowodzi, iż w zamkniętym gronie biologów zaczyna sobie powoli torować drogę przeświadczenie, że kurczowe trzymanie się teorii doboru naturalnego nie przynosi nauce korzyści i że — dla uzyskania pełnego obrazu — należy rozpocząć poszukiwanie i teoryj innych. Ta próba otrząśnięcia się z tyranii utrwalonych w powszechnej opinii teoryj wyjdzie niewątpliwie nauce o ewolucji na zdrowie. **T. F.**

SZKOLNICTWO WYŻSZE I NAUKA NA OBCZYŹNIE

(Wyjątki z odezwy F. O. P. Z.)

„Przed dwoma laty **Fundusz Oświaty Polskiej Zagranicą** podjął inicjatywę zbiórki publicznej na wyższe uczelnie i na naukę polską w wolnym świecie. Nasz apel wywołał szeroki odzew... Dzisiaj zwracamy się po raz trzeci do ofiarności publicznej. Czynimy to w głębokim przekonaniu o wielkiej doniosłości sprawy, którą tak wymownie podkreśliła — odbyta w czerwcu 1957 roku — Konferencja Wolnej Kultury Polskiej...

„Rok ubiegły nie ziścił nadziei, jakie wiązano dość powszechnie z „przełomem październikowym" w Polsce. Po przejściowym odprężeniu, które powitaliśmy z uczuciem szczerej ulgi, wracają dawne metody rządzenia, potępione przez opinię nieugiętego w swej postawie Narodu. Znowu zaciskają się więzy, krępujące swobodę myśli...

„W obliczu tych niebezpieczeństw na uczonych polskich w wolnym świecie spadają szczególnie doniosłe zadania. Utrzymują oni żywą łączność ze światem kultury zachodniej... Ich zapał i myśl badawcza ożywia **Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie.** Ich wysiłkiem i ofiarną pracą utrzymują się **Polski Uniwersytet na Obczyźnie i Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych.** Obie te uczelnie dają swym słuchaczom pogłębioną wiedzę o Polsce na poziomie uniwersyteckim. Dzięki nim młoda polska inteligencja na obczyźnie może uzupełniać swą wiedzę fachową, zdobytą w szkołach obcych... znajomością dziejów, kultury i obecnego położenia naszego Narodu...

„Warunki pracy tych placówek polskiej nauki i nauczania są niezwykle ciężkie. Brak często środków na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb. Te środki może zapewnić jedynie ofiarność społeczna. Możemy być pewni, że zostaną one dobrze i celowo użyte. Niech więc nikogo nie zabraknie tam, gdzie każda, choćby najskromniejsza ofiara współdziała w tworzeniu **naszego wspólnego dobra: kultury wolnego narodu...**"

*

W lutym 1958 r. odbędzie się w Wielkiej Brytanii i innych krajach europejskich, a w marcu i kwietniu w innych krajach polskiego osiedlenia — **zbiórka publiczna.**

Organizacji zbiórki podjęły się na prośbę zarządu Funduszu współdziałające z nim organizacje społeczne ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów na czele. Odbywać się ona będzie **bądź w formie zbiórki puszkowej przed polskimi kościołami i w polskich lokalach,** bądź na rozesłane w tym celu **listy składkowe.**

Niezależnie od akcji zbiórki publicznej zarząd Funduszu zwrócił się z prośbą o **datki indywidualne.**

Wszelkie ofiary na wyżej wspomniany cel należy kierować do **Funduszu Oświaty Polskiej Zagranicą — 42 Emperor's Gate, London, S.W.7.** Czeki i Postal Ordery należy wystawiać na **Foundation for Polish Education Abroad".**

R O Z P O W S Z E C H N I A J
W Ś R Ó D
S W Y C H
Z N A J O M Y C H **»ŻYCIE«**

„WIELKI SCHRON”

Biskup Lourdes rzucił projekt, aby 100-lecie objawień Matki Boskiej uczcić wzniesieniem świątyni, która by mogła pomieścić uczestników licznych pielgrzymek, jakie w roku jubileuszowym napłyną do Lourdes z całego świata. Czasem takie pielgrzymki liczą do 20 tysięcy ludzi, a więc i kościół musi byc odpowiednio duży.

Zadanie było niełatwe, gdyż trzeba było pogodzić ze sobą szereg wymagań. Nie można bowiem naruszyć harmonii sanktuarium i trzeba zachować właściwy mu charakter, tak przychylny skupieniu (skałki, trawniki, woda, drzewa). Znaleziono rozwiązanie: tuż obok Esplanady postanowiono zbudować podziemną salę „wielki schron”, jak go nazywa główny architekt, p. Vago — jedno z najśmielszych rozwiązań dzisiejszej architektury, nakrytą przestrzeń o powierzchni dwa razy większej niż rzut poziomy katedry Notre Dame, bez jednego filara, bez żadnej kolumny pośrodku.

Wszystko jest tu bardzo proste: olbrzymia sala, która przypomina kształtem rybę lub ziarnko pszenicy — symbole Chrystusa i życia. Sklepienie i podłoga, które się łączą, jak ziemia z niebem na nieboskłonie. W pośrodku ołtarz, jeden jedyny, wokół którego skupiać się będą rzesze wiernych w modlitwie i uwielbieniu. A na zewnątrz ani dzwonnicy, ani fasady, tylko rozległy, zielony trawnik, zapraszający pielgrzyma do odetchnienia w nastroju pełnym pogody.

Kościół św. Piusa X posiada wewnątrz wymiary: 60 metrów na 180, wokół przebiega galeria szeroka na 10 metrów. Wysokość głównego łuku w samym jego środku wynosi 10 metrów, a podłoga świątyni jest lekko wklęsła. Całość pokrywy zajmuje ponad 14.000 m kw. powierzchni, spoczywającej na 29 symetrycznych portykach betonowych oryginalnej konstrukcji, której piękno wyraża się w jej prostocie i celowości. Dostęp do świątyni podziemnej będą mieli przybywający przez szereg pochylni, których nachylenie waha się od 2 do 8%. Umożliwiają one wjazd wózkom z chorymi, a nawet ambulansom.

Trudny problem wietrzenia olbrzymiej świątyni rozwiązano w ten sposób, iż specjalne urządzenia będą przepompowywały przez kościół, gdy będzie wypełniony ludźmi, około 240 milionów litrów powietrza na godzinę. Nowy system głośników umożliwi wszystkim obecnym pełny udział w nabożeństwach.

Ogrom wykonanych robót trudno sobie wyobrazić, nawet, gdy się wie, że cały wykop ma wymiary 80 × 200 metrów, że trzeba było usunąć i wywieźć 75.000 metrów sześciennych ziemi, że 5.500 ton cementu zużyto tylko na zabezpieczenie boczne przed działaniem wody, że w całości zostanie użyte 15.000 metrów sześc. betonu itp.

Umożliwiła to wspaniałe dzieło jeszcze wspanialsza hojność katolików z całego świata. Wśród ofiar i darów nie zabrakło wzruszających nieraz dowodów jedności katolików w czci dla Matki Najświętszej, jak np. owe 239.250 franków (ok. £ 200) zebranych przez 8.000 katolików z wysp Wallis i Futuna.

Poświęcenie nowej świątyni odbędzie się uroczyście 25 marca 1958 roku, w dniu Zwiastosowania Najśw. Maryi Panny.

Cz.

Wędrówki

LA CAVALCATA SARDA

Napisał KS. A. FILIPIAK

Z Rzymu do Cagliari jest godzina lotu. Toteż korzystając z ferii sądowych, postanowiłem spędzić święta Bożego Narodzenia na wyspie Sardynii, której dotychczas nie znałem. Nasz Linde o Sardynii pisze tylko tyle, że jest to wyspa znaczna na Morzu Śródziemnym. Wiedziałem jeszcze z gimnazjum, że Grecy nazywali Sardynię **Ichnusa.** Poza tym z geografii wiadomo, że Sardynia jest odgrodzona od Italii Morzem Tyreńskim; na północy dzieli ją od wyspy Korsyki cieśnina Bonifacego. Z Cagliari, południowego portu Sardynii, do Tunisu w Afryce jest tylko 250 km odległości; bliżej niż do Palermo, bliżej niż do brzegu italskiego.

Klimat wyspy jest śródziemno-morski: słoneczny i ciepły. Kiedyś panowała tu powszechnie malaria, zbierając fatalne swe żniwo. Od plagi tej uwolnili doszczętnie Sardynię, w czasie ostatniej wojny, Amerykanie.

Sardynia bywa nawiedzana przez gwałtowne wichry: mistral dmie z północy, i jest zimny: scirocco zaś, wiatr nieznośny, gorący, pochodzi z Afryki.

Deszcze są raczej rzadkie, padają w zimie. Wtedy rzeki, wśród nich najważniejsze Tirso i Flumendosa, łatwo wzbierają i stają się niebezpieczne.

Ludność Sardynii jest bardzo rozproszona: wynosi 1.500.000 mieszkańców. Jest to kraj **maquis** — ciągle jeszcze w górskich okolicach obowiązuje tradycja „fajda” — pogańskie prawo zemsty narodowej. Wtedy palą się, niestety, całe połacie lasów, którymi górzysta Sardynia jest pokryta.

Na równinie — kultura zboża — średniej wydajności; świetne są wina sardyńskie; zaspakajają całkowicie rynek wewnętrzny, tak samo oliwki, figi, pomarańcze (znane są pomarańcze z **Milis**), cytryny. Sardyńskie krowy górskie są małe, czerwonej maści; słynne są konie.

U brzegów kwitnie rybołówstwo przeważają ton, sardynki i langusta.

Już Rzymianie mieli na Sardynii kopalnie żelaza, cynku, ołowiu i srebra. Znany jest marmur i granit sardyński; zatoka Kalarytańska zawiera również korale.

Z czasów rzymskich datuje się również produkcja soli, którą w zatoce Kalarytańskiej warzą z wody morskiej: wielkie kopce tego cennego minerału ciągną się wzdłuż brzegu morskiego w **Poetto,** w bliskości Cagliari.

Główne porty Sardynii są: **Cagliari, Tortoli, Terranova, Porto-Torrès, Oristano.** Portem wojennym jest **la Maddalena.**

Sardynia ma dużo czaru; ma coś z ziemi dziewiczej, tchnie dawnością wieków. Ludność jej prosta, religijna i szczera; w lasach Sardynii buszuje dzik, ale nie ma jadowitego węża. Wyspa jest przybytkiem ciszy i spokoju. Kto raz był w Sardynii, wraca do niej, idąc za dziwnym głosem nostalgii, tak przynajmniej twierdzą Sardowie.

O przeszłości Sardynii najlepiej mówią wykopaliska w **Nora** — w okolicy Cagliari, dokonane w naszych czasach; w roku 1952 dopiero je zaczęto, i jeszcze są w biegu. Od roku 1100 przed Chrystusem datują się pierwsze poszlaki ludów wschodnich, na Morzu Śródziemnym; wśród nich prym dzierżą **Fenicjanie,** handlujący produktami krajów zachodnich, szczególnie metalami, bardzo poszukiwanymi na wszystkich ówczesnych rynkach Morza Śródziemnego. Stąd wielkie znaczenie wyspy Sardynii, kraju posiadającego złoża naturalne tych cennych substancji. — Dziś nauka przyjmuje historyczność tezy o wędrówce ludów wschodnich ku zachodowi, od drugiej połowy II tysiąclecia przed narodzeniem Chrystusa. Pierwsze centra kolonizacji fenickiej, według tej tezy, były na półwyspie Hiberyjskim, w **Cadi** i **Tartasso,** pod koniec II tysiąclecia przed Chr. albo na początku I tysiąclecia; z tych ośrodków zaczęli później napływać, poprzez Afrykę Północną i Sycylię, feniccy żeglarze, kolonizujący Sardynię. Nora, w myśl tej tezy, została założona przez Fenicjan. Oni to, i po nich Kartagińczycy, zajęli brzegi wyspy Sardynii. Następnie, po wiekach, przy końcu pierwszej wojny punickiej Rzymianie zajęli całą wyspę. Okupacja rzymska trwała blisko 700 lat. Po Rzymianach przyszli Wandale, po nich zaś Bizancjum wyciągnęło po wyspę swe ręce. W następnym okresie Sardynia posiadała własną autonomię pod zarządem dziedzicznych Rad; były cztery Rady Sędziów — zwane „Giudicati” — w **Gallura, Torrès, Arborea** i **Cagliari.** Ich zadaniem niełatwym było odparcie najazdów szczepów arabskich.

Gdy niebezpieczeństwo arabskie ustało, Rady, jedna po drugiej, uległy potędze republik morskich Pizy i Genui.

Około roku 1300 po Chr. zdobyli Sardynię Aragończycy i narzucili administrację hiszpańską, która trwała aż do 1700 r.

Od 1720 r. Sardynia jest częścią Włoch.

Oczywiście każda z wymienionych epok wycisnęła swe piętno charakterystyczne na kulturze sardyńskiej.

Widać to w śniadej cerze i czarnym uwłosieniu ludności sardyńskiej, w jej barwnych ubiorach, dotychczas zachowanych. Kto chce użyć folkloru sardyńskiego, powinien pojechać do Cagliari 1 maja: wtedy odbywa się tradycyjna procesja z Cagliari do Nory ze statuą św. Efizjusza, męczennika pierwszych wieków chrześcijańskich; bierze w niej udział ludność południowej Sardynii, w pięknych kolorowych strojach. Św. Efizjusz i św. Saturnin to patronowie Sardynii. Znane są także obchody tradycyjne pod nazwą „La cavalcata sarda”, urządzane w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, w Sassari.

Zasięg czasów tej arcyciekawej wyspy jest przeogromny. Nora jest najstarszym osiedlem Sardynii, jest rówieśniczką Kartaginy, starszą od Rzymu. **Carbonia** zaś została założona przez Mussoliniego — jest to miasto węgla: kopalnie węgla uruchomiono w roku 1938. Dalej na północ, u zachodniego brzegu Sardynii założył Mussolini wzorcowe gospodarstwa rolne. Arborea jest ich ośrodkiem.

Podziwiałem piękne okazy rogacizny, w nowocześnie urządzonych oborach. Radowałem oczy złotymi pomarańczami — w grudniu zaczyna się ich żniwo i trwa do kwietnia. W wigilię Bożego Narodzenia dwukoliste wozy, pełne pomarańczy i świeżych melonów, posuwały się wolno do Oristano. Aura była łagodna, wiosenna, podczas gdy w mojej ojczyźnie pola były pokryte śniegiem, a powietrze wyiskrzone mrozem —15°. Jedynie pasterze pilnujący trzód owieczek na podgórskich zielonych pastwiskach sardyńskich przypominali mi moją polską kolędę: „Przybieżeli do Betlejem pasterze”.

Ks. A. Filipiak

LISTY I UWAGI

JESZCZE O BUDDYZMIE

Obawiam się, że w dyskusji o buddyzmie na łamach ŻYCIA zaszły aż dwa nieporozumienia, wskutek których obaj przeciwnicy, Polonus i red. Sambor, mają rację. (1) Buddyzm buddyzmowi nie równy. Chodzi o olbrzymi zespół najróżniejszych wiar i poglądów; pewne jego postacie są oczywiście całkiem niereligijne czy religijnie „puste", podczas gdy inne należą do najwyższych znanych nam form religii poza chrześcijaństwem. (2) Moralność to jedno, a religia drugie; nawet najbardziej niereligijny buddyzm hinajanistyczny jest niewątpliwie wysoką nauką moralną — z czego jednak nie wynika, aby zarzut „pustki" religijnej nie miał być w stosunku do niego słuszny.

Tyle, **salvo meliore judicio.** Mamy wśród Polaków znakomitego buddologa, prof. Konstantego Regameya, który wykłada na tutejszym uniwersytecie. Sugeruję, aby go poprosić o fachowe orzeczenie w tej sprawie.

I. M. Bocheński, O.P.

OSTROŻNIE Z BUDDYZMEM

Książka francuskiego zakonnika o buddyzmie, o której pisze **p. Michał Sambor,** to jest zapewne książka francuskiego jezuity, o. H. de Lubac, której tytuł w angielskim wydaniu brzmi: **„Aspects of Buddhism"**

Nikt temu nie przeczy, że buddyzm jest jedną z wielkich religii świata, że wyrósł na podłożu wielkiej cywilizacji i w dalszym ciągu tę cywilizację rozwinął i wzbogacił, oraz że może się poszczycić dorobkiem myśli filozoficznej o wielkiej subtelności i głębi. Nikt również temu nie przeczy, że przejawiło się w buddyzmie jak we wszystkich innych religiach, wrodzone pragnienie szukania prawdy i szukania Boga i że wiele dusz w sposób naturalny chrześcijańskich, choć nic o chrześcijaństwie nie wiedzących, kierowało się i kieruje metodą buddyjską w dążeniu do świętości, a więc w modlitwie i w ascezie. Ludzie ci z pewnością będą zbawieni.

Mimo to nie wolno jest nie widzieć głębszych, filozoficznych założeń buddyzmu, niewątpliwie wiodących myśl ludzką na manowce. W czasach, gdy poszczególne odłamy ludzkości nie stykały się, lub tylko w słabym stopniu stykały się z sobą, mogliśmy podziwiać, ile jest w buddyzmie, w praktycznym zastosowaniu, dążeń, pojęć i zasad, które są nam bliskie i pod którymi chrześcijanin mógłby się podpisać. (Tak samo zresztą może się on podpisać pod niejednym, co jest w islamie, albo... w komunizmie). Jest również rzeczą zrozumiałą i słuszną, że misjonarze pracujący nad nawróceniem społeczeństw buddyjskich na chrześcijaństwo starają się wykryć w światopoglądzie buddyjskim, lub w buddyjskiej praktyce, elementy pokrewne chrześcijaństwu, po to, by móc na nich łatwiej budować. Ale to nie zmienia faktu, że w liniach generalnych buddyzm jest na wskroś chrześcijaństwu obcy i trzeba z nim walczyć jako z jedną z sił wrogich. Świat jest dziś jeden, to co się dzieje w Bangkoku jest nam (gdy zechcemy się dowiedzieć) doskonale znane, tak samo, jak doskonale jest znane ludziom w Bangkoku to, co się dzieje w Rzymie, czy w Londynie, czy w Warszawie. Jedno zazębia się z drugim i fronty walki obejmują cały świat... Nie sądzę, byśmy mieli buddyzm po naszej stronie frontu. Albowiem jest to doktryna wielkiej nicości i pustki. Doktryna, w praktyce torująca dziś drogę materializmowi.

...Europejscy przeciwnicy chrześcijaństwa odkryli w XIX stuleciu, że są w buddyzmie elementy bardzo pokrewne Kabale i dokonali w Europie wielkiej propagandy na rzecz buddyzmu w intencji przeciwstawienia go chrześcijaństwu. Prąd teozoficzny jest w istocie prądem kabalistycznym, ubranym w szaty buddyjskie. Proszę się uważniej przypatrzyć europejskim „buddystom"! Nie mało ich zwłaszcza w Anglii. Są to wszystko zaciekli wrogowie chrześcijaństwa. Bądźmy ostrożni z pochwalaniem buddyzmu...!

Polonus

UNIEZALEŻNIENIE UNIWERSYTETÓW

„Wstępne słowo" do mojego artykułu **„Rozwój budownictwa uniwersytetów "** w nrze 45 ŻYCIA jest zredagowane dość niewyraźnie. „Początek uniezależniania" się uniwersytetów Redakcja przesuwa o „kilka wieków". W artykule napisałem: „był to początek uniezależnienie — w wieku XIII. Wyższe wykształkształcenia..."

Początek uniezależniania, bo normalnie coś się zaczyna i — staje się. Nastąpiło uniezależnienie w w. XIII. Wyższe wykształcenie do wieku XII wyłącznie i częściowo w wieku XII było prerogatywą klasztorów i katedr.

Wspomniane uniwersytety, jeden w Salerno i drugi w Bolonii, specjalizowały się w naukach świeckich — jeden w medycynie i drugi w prawie. Bolonia wydała słynnego Irneriusza, prawnika, który napisał książkę-podręcznik dla notariuszy (Irneriusz umarł w 1130 roku).

Uniwersytet wiąże się i zawsze się wiązał z rozwojem cywilizacji. Wiek XII to odkrycia (odkryty na nowo Arystoteles), dociekania i poszukiwania. Wymagania większe niż te, którym mógłby sprostać program kształcenia pod całkowitą kontrolą Kościoła...

W. Łęski

W Kościele zmieścić się może wszystko: odkrycia, dociekania, poszukiwania i... „nauki świeckie". Naszym zdaniem nie chodziło o „kontrolę Kościoła", ale o ówczesną ciasnotę poniektórych kontrolerów. Red.

FRANCJA I MAROKO

R. T., młody Polak, odbywający służbę w lotnictwie francuskim, pisze o reportażu **„El Moghreb i Polacy"** w zeszłorocznym numerze ŻYCIA, który mu wpadł w ręce:

...Reportaż żywy i ciekawy, na pewno pożyteczny z polskiego punktu widzenia, wydał mi się jednak niepełny i niezupełnie obiektywny w odniesieniu do roli Francji, zbyt pro-marokański i zbyt optymistyczny, jeżeli chodzi o najbliższą przyszłość niepodległego Maroka.

W trzecim roku niepodległości Maroko sięga po Maurytanię i zachodnią Saharę. Marokańczycy zapominają, że to wysiłek francuski zjednoczył kraj i wyrwał go z wiekowej anarchii, jaką zastał Lyautey, gdy lądował w roku 1912; zapominają, że przy udziale Francji budowało się nowoczesne Maroko...

Upragniona i słusznie wyczekiwana niepodległość przyprawia cały naród o zawrót głowy. Nowi władcy, w euforii wyzwolenia, wierzyli, że własnymi środkami potrafią się uporać ze wszystkimi problemami gospodarczymi i administracyjnymi... Na pierwszym kongresie Istiklalu żądano dla robotników świadczeń społecznych, na które pozwolić sobie mogą tylko najbardziej rozwinięte państwa... Naród jest młody; młodzież łatwo się podnieca... Wśród nielicznej inteligencji rozgrywa się konflikt między gorącym pragnieniem, by być razem z ludem, czy ma on rację czy jej nie ma, a odrazą do nadużyć rewolucji i okrucieństw popełnianych w jej imieniu...

Nie wystarczą slogany i marzenia. Trzeba kapitałów i specjalistów. Maroko stara się znajdywać ich wszędzie po świecie, gdy tymczasem rozwiązanie trudności gospodarczych może nastąpić przede wszystkim przy pomocy ekonomicznej i finansowej Francji. Pomoc francuska jest konieczna dla utrzymania technicznych osiągnięć... Trzeba lat, żeby kraj wykształcił własnych specjalistów, rozruszał przemysł, podniósł kulturę zaniedbanej i ubogiej gleby, zreorganizował produkcję rolną i rzemieślniczą...

Zażegnanie kryzysu ekonomicznego i groźby bezrobocia wymaga nade wszystko spokoju i bezpieczeństwa. Rząd musi opanować anarchię podżeganą i eksploatowaną przez elementy wywrotowe i komunistów. Inwestycje z zewnątrz przyjdą, gdy wzrośnie zaufanie do nowego państwa...

Francja niech nie oczekuje dzisiaj wdzięczności; powinna natomiast zdać sobie sprawę z tego, że minąć może ostatnia okazja ułożenia przyjaznych stosunków i dalszego realizowania jej „misji" w nowych warunkach. Na to zaś trzeba polityki francuskiej twórczej i rozsądnej, energicznej i konsekwentnej w stosunku do całego obszaru Afryki północnej...

CONRADIANA

Dr J. Wepsięć (Waszyngton) nadesłał ciekawe wycinki z prasy amerykańskiej w związku ze **100-leciem Conrada.** „New York Times Book Review" (1.12.57) zamieścił artykuł Borysa Conrada, syna pisarza, ze wspomnieniami osobistymi. „North American Newspaper Alliance" donosi o rozebraniu na złom statku „Otago" na rzece Derwent w Tasmanii... „Otago" był pierwszym statkiem, który kapitan Conrad objął w roku 1888 w Bangkoku.

PIERWSZY NUMER

Przeczytałem pierwszy numer ŻYCIA, jako miesięcznika i oglądnąłem zewnętrzną stronę pisma. Uważam, iż umieszczenie na okładce wykazu treści jest rozwiązaniem bardzo praktycznym. Nie uważam jednak, by wszystko, co numer zawiera nadawało się na okładkę, na której winny się znaleźć tylko artykuły główne, oraz tytuły działów.

Niewątpliwie, **korekta musi być troskliwsza.** Co do rozmieszczenia poszczególnych prac, zwłaszcza pomniejszych w stosunku do głównych, należy dążyć do perspektywy i należytego układu. Można się też spierać nad estetycznością ustawienia fotografii np. ś. p. Naglerowej.

...Życie wtedy tylko odpowie swemu założeniu, jeżeli będzie wyrazem myśli i dążeń grupy intelektualistów katolickich wiedzących, co, o czym, i jak pisać. Powstanie takiej grupy, a raczej grup w ośrodkach emigracyjnych rozsianych po całym świecie, jest koniecznością, a obecny zespół redakcyjny ŻYCIA musi wytworzyć zrozumienie tej konieczności u polskiej emigracyjnej inteligencji. ŻYCIE to ich pismo, a nie tylko dla nich. — Szczęść Boże...

Ks. Stanisław Belch

„ŻYCIE" WCZORAJ I JUTRO

Jestem głęboko zmartwiony likwidacją ŻYCIA jako tygodnika. Po tylu latach istnienia znika jeden z nielicznych polskich tygodników, nie mających charakteru lokalnego, lecz czytanych we wszystkich zakątkach świata. Na placu pozostają tylko tygodniki o odmiennym obliczu... oraz katolickie tygodniki lokalne...

ŻYCIE wprawdzie trwa nadal jako miesięcznik, ale... inaczej się tygodnik czyta i inny jest jego wpływ.

Pragnę wyrazić nadzieję, że po niejakim czasie ŻYCIE powróci do roli tygodnika, może poprzez fazę przejściową dwutygodnika. Nie sądzę jednak, by było to możliwe bez bardzo gruntownej i głęboko sięgającej reformy.

Uważam, że w ostatnich kilku latach ŻYCIE ewoluowało w niewłaściwym kierunku i że ukoronowaniem tej ewolucji było przekształcenie się jego w magazyn w kolorowej okładce. To w sposób ostateczny rozstrzygnęło o upadku pisma jako tygodnika.

Dla polskiego społeczeństwa katolickiego na emigracji posiadanie pisma ilustrowanego „magazynu" nie jest najpilniejszą potrzebą. Natomiast społeczeństwo to potrzebuje tygodnika publicystycznego, w którym byłyby omawiane zagadnienia obchodzące to społeczeństwo w innym duchu, niż to może i chce robić... prasa katolicka w Polsce... a także w innym duchu, niż to robi na emigracji prasa niekatolicka.

Najważniejszą właściwością, jaką to pismo musi posiadać, jest to, by istniało. Natomiast takie właściwości, jak ilustracje, okładka, luksusowy gatunek papieru nie są konieczne i należy z nich zrezygnować. Pismo to powinno kosztować jak najtaniej; mówię o koszcie, ponoszonym przez wydawców, nie o koszcie płaconym przez czytelnika. Czytelnik, o ile mu na piśmie zależy, gotów jest płacić tyle, ile pismo kosztuje.

Pismo powinno być drukowane na jak najtańszym papierze i powinno być wolne od materiałów z agencyj prasowych, od sieczki informacyjnej, będącej powtarzaniem tego, co jest w prasie codziennej i od opracowań popularno - naukowych. Treścią jego winna być publicystyka. Powinno ono omawiać — ze stanowiska katolickiego — te zagadnienia, o których Polacy dyskutują, o które się troszczą, którymi się martwią lub cieszą. Omawiać — to znaczy dyskutować. Pismo nie powinno być „konformistyczne", dopasowane do sposobu myślenia „polskiego Londynu". Powinno dawać piszącym dużą swobodę w formułowaniu ocen i wypowiadaniu poglądów, pod warunkiem, by oceny te i poglądy wychodziły z założeń katolickich i polskich. Publicystyka powinna mieć charakter różnorodny: składać się z artykułów, felietonów i jak najliczniejszych listów do redakcji. Za artykuły, niestety, trzeba płacić honoraria. Bez tego dopływ treści będzie zbyt ubogi. Trzeba starać się o nowe pióra, zapraszać do pisania osoby, które dotąd pisać nie próbowały — i przysyłane przez te osoby materiały czytać sumiennie i bez opóźnień i o ile na to zasługują, w pełni zużytkować.

Pismo powinno mieć stały dział młodzieży, pisany przez samą młodzież (na pewno dałoby się komitet redakcyjny takiego działu zorganizować), charakterem zbliżony do działu młodzieży w londyńskim „Dzienniku Polskim", ale zdecydowanie katolicki.

Powinno być w piśmie dużo korespondencji ze świata. Czy czytelnik przebywający w czarnej Afryce nie mógłby pisywać o tym, co się dzieje w świecie murzyńskim, co Murzyni myślą i czują, jakie zachodzą wśród nich przemiany społeczne, gospodarcze, polityczne, kulturalne, moralne, jak rozwija się wśród nich Kościół i... komunizm? Przecież to wszystko jest niezmiernie ważne dla całego świata, a więc obchodzi i nas! A w ocenie tego możemy być szczególnie niezależni i bezstronni, bo będąc narodem europejskim i białym, nie jesteśmy skrępowani interesem kolonialnym i tradycjami politycznymi kolonialnymi, a co więcej, mamy za sobą tradycję antykolonizatorskiej doktryny Pawła Włodkowica! Czy czytelnik, mieszkający w Ameryce Południowej, nie mógłby pisać co się dzieje w świecie ibero-amerykańskim, jakie w nim nurtują prądy, jakie się w nim toczą przemiany? Bylibyśmy ciekawi takich samych korespondencji o życiu Szwecji, Włoch, Irlandii, francuskiej i angielskiej Kanady, Japonii i każdego innego zakątka świata.

Rzeczą równie ciekawą i pożądaną byłyby korespondencje z Polski. Czy nie możnaby zorganizować pisywania ich (pod nazwiskiem, lub anonimowo) przez osoby z Polski, przebywające w Londynie na urlopach? Goście z Polski chętnie by zarobili po parę groszy, bo są za granicą z reguły bez własnych pieniędzy! Gdyby dobrze poszukać, można by znaleźć kopalnie materiału, bądź w formie oryginalnych artykułów, bądź w formie wywiadów lub wyciągów z rozmów. Takie tematy, jak sprawa „autochtonów" na Śląsku, na Warmii i Mazurach, sprawa nauki religii w szkołach w Polsce, sprawa oblicza polskiej młodzieży, sprawa sytuacji na polskiej wsi (jak wygląda gospodarka w PGR-ach i życie ich robotników i administracji, jak wygląda życie chłopów samodzielnych itp.), dane o tym, co słychać na Podhalu, co słychać na Kaszubach, co słychać w Przemyskim, co słychać w robotniczej Łodzi itd., — przecież to wszystko fascynujące zagadnienia. Nie omawia się ich w sposób swobodny w Polsce, gdzież się je ma omawiać, jeśli nie na emigracji?

Ważną rzeczą byłyby recenzje. Zwłaszcza recenzje książek wydawanych w Polsce, albo zahaczających o sprawy polskie. Ale nie w formie suchych notatek informacyjnych, lecz w formie krytyki, replik i polemik. Pod tym względem ŻYCIE było bardzo po macoszemu dotąd traktowane. Bardzo było trudno recenzję tego typu w ŻYCIU umieścić. Przykład najświeższy: recenzję o obszernej monografii historycznej napisanej przez Anglika o polskim powstaniu listopadowym raczej w duchu tez doktryny historycznej komunistycznej, posłałem do ŻYCIA około półtora roku temu i dotąd ani się nie ukazała drukiem, ani nie została odrzucona. Inny przykład: wydałem w 1955 r. po polsku i w 1956 r. w angielskim przekładzie tom nowel pt. „Opowiadania bałtyckie". O książce tej ukazało się 23 mniejszych i większych recenzji i notatek w prasie anglosaskiej, głównie katolickiej i prasa ta podkreślała katolicki charakter książki. Książka ta nie dostąpiła jednak zaszczytu recenzji, a nawet małej notatki, w ŻYCIU. Jeśli polski emigracyjny pisarz katolicki nie doznaje poparcia, a nawet nie jest darzony zwróceniem uwagi, w polskim emigracyjnym piśmie katolickim, to gdzież ostatecznie ma on znaleźć to poparcie i uwagę? — A pismo, które takich zadań nie spełnia, jest oderwane od życia. — Zwłaszcza o tym, co wydawane jest w Polsce, należałoby pisać w ŻYCIU dużo, śmiało i polemicznie.

Oczywiście, nie potrzebuję wymieniać ogromnego działu publicystyki czysto religijnej i kościelnej, na tematy liturgiczne itp., oraz moralne. A także publicystyki politycznej, społeczno-gospodarczej, emigracyjno - organizacyjnej itp.

Jeden dział poza publicystyką jest konieczny: jest nim strona literacka. Dla oryginalnych, nowych utworów poetyckich, powinno zawsze być w ŻYCIU miejsce. Rzeczą nie mniej pożądaną, a dotychczas na ogół przez ŻYCIE nie uprawianą, mogłaby być powieść lub nowela. Tylu jest na emigracji literatów, całymi latami czekających na możność wydania swych utworów literackich! A przecież istnieje także być może możność sprowadzenia tego czy innego, niedrukowanego utworu z Kraju, nie mającego tam szans wydania! Stały odcinek powieściowy w ŻYCIU (oczywiście tygodniku, miesięcznik jest na to pismem o zbyt powolnym rytmie) z pewnością jednałby czytelników i wpływał na poczytność pisma. A z zachowanego składu nie trudno by było tanim kosztem zrobić wydanie książkowe, nawet o małym nakładzie.

Na zakończenie — anegdota. Słyszałem ją coś ze trzydzieści lat temu z ust kogoś, kto mi opowiadał o stosunkach w Ameryce. Opowiadanie dotyczyło jakiejś grupy narodowościowej w jednym z miast amerykańskich...

W mieście tym istniał (niemiecki?) dom narodowy. Był to wielki gmach, w którym na parterze była restauracja połączona z salą zebrań i zabaw, oraz księgarnia, skład materiałów piśmiennych i biuro ogłoszeniowe, a także skład kolonialny z niemieckimi delikatesami, w oficynie dobrze urządzona drukarnia, na piętrze redakcja dziennika w języku niemieckim, biura świetnie prosperującej organizacji wzajemnych ubezpieczeń, oraz lokale szeregu niemieckich organizacji. Wszystkie te instytucje przynosiły poważne dochody: restauracja była zawsze pełna, zabaw było moc i były udane, księgarnia dobrze szła, sklep był świetnym interesem, biura... kwitły, drukarnia miała znakomite dochody, zwłaszcza, że magistrat miasta, liczący się z wpływami niemieckimi w mieście, jednał sobie Niemców przez dawanie drukarni zarobków w postaci zamówień na druki magistrackie, bilety autobusowe... Wyjątkiem była gazeta: przynosiła ona deficyt i tamte wszystkie instytucje i przedsiębiorstwa musiały ten deficyt pokrywać.

Pewnego razu doszło w ruchu niemieckim w tym mieście do głosu młode pokolenie, już urodzone w Ameryce i usposobione po amerykańsku praktycznie. Na czoło w domu narodowym wysunął się młody, energiczny działacz, który zabrał się do reform. Uznał on, że najelementarniejszą reformą, którą wymaga zdrowy rozsądek, jest likwidacja niepotrzebnej placówki, przynoszącej stały deficyt: zlikwidował pismo. I co się okazało? Naraz wszystkie inne przedsiębiorstwa w domu narodowym zaczęły przynosić deficyt. Magistrat ocenił, że wpływy niemieckie w mieście się kurczą i nie warto ich kaptować, odebrał więc bilety autobusowe drukarni niemieckiej i dał je komuś innemu... Dom narodowy stracił codzienny kontakt ze swą klientelą i klientela ta przestała do niego przychodzić, bo przestała wiedzieć, co się w nim dzieje. Restauracja zaczęła świecić pustkami, zabawy przestały się udawać, księgarnia musiała ulec zwinięciu, biura ubezpieczeniowe i pogrzebowe utraciły swoją klientelę... Dom niemiecki szybko potoczył się ku upadkowi.

Uważam, że każde pismo, oparte o drukarnię i będące ośrodkiem szerzej zakrojonego ośrodka życia społecznego i działalności, winno o tym doświadczeniu i nauczce pamiętać.

Jędrzej Giertych

LUDZIE I ZDARZENIA *

„Zeta" jest najlepszą repliką, jaką Zachód może dać sowieckiemu Sputnikowi — powiedział poseł **Joe Grimmond**, przywódca brytyjskich liberałów — tania energia nie tylko pomoże rozwiązać trudności ekonomiczne, ale pozwoli skierować wysiłki polityków ku problemom organizowania pokojowego współżycia wolnych społeczeństw; oto pozytywna odpowiedź komunizmowi..."

*

Kurs duszpasterski na temat zagadnień małżeństwa i rodziny urządziła **w Krakowie** Kuria Metropolitalna w styczniu bież. roku. Referaty wygłosili: **ks. K. Wojtyła:** „O potrzebie i sposobach przygotowania do sakramentu małżeństwa", **ks. prof. W. Wicher:** „Praktyki antykoncepcyjne w świetle zasad katolickich", **W. Majdański:** „Braki wychowania wobec dzisiejszego kryzysu rodziny", **ks. biskup dr C. Kaczmarek:** „Myśli i wskazania Piusa XII w sprawie rodziny", **ks. prof. P. Bednarczyk:** „Duszpasterskie metody kształcenia i wychowania rodziców", **prof. Leokadia Malunowicz:** „Rola kobiety katolickiej w rodzinie".

*

Najbliżsi współpracownicy i towarzysze niedoli więziennej biskupa kieleckiego J. E. ks. dr. C. Kaczmarka, będą obecnie jego pomocnikami jako biskupi sufragani: ks. dr Stefan Sobałkowski, dotąd rektor Seminarium Duchownego w Kielcach, oraz ks. dr Jan Jaroszewicz, wikariusz generalny diecezji kieleckiej.

*

W Polsce proces biskupi w sprawie beatyfikacji **ks. Bronisława Markiewicza**, założyciela michaelitów i michaelitek.

K. O. W. Veritas wydał przed kilku laty obszerny życiorys ks Markiewicza, napisany przez ks. W. Michułkę. Książka jest wyczerpana; rozważa się jej wznowienie.

*

Sprawozdanie **akcji pomocy dla uchodźców węgierskich** (1956-57) brytyjskiej **Katolickiej Ligi Kobiet** (CWL; 21 b, Ashley Place, London, S.W.1; przew. Mrs. D. Woodruff, sekr.: Mrs. N. Warmington) obrazuje ogrom wykonanych prac: pomoc materialna i społeczna, pomoc dla **Duszpasterstwa węgierskiego (nowa kapelania:** 137 Holland Road, London, W.14), wysyłka pomocy zagranicę, opieka nad dziećmi, młodzieżą, starcami, oświata, ekwipunek hosteli... Zebrane i uzyskane fundusze: £ 85.310; wydatki £ 29.145.

*

Towarzystwo Przyjaciół Kolegium XX. Marianów w Fawley Court wydało ciekawy komunikat dla członków, których liczba rośnie. Jest on pomyślany jako ogniwo wiążące wszystkich, którzy chcą współdziałać w pracach XX. Marianów.

Pomoc — to informowanie o działalności Kolegium, jednanie członków dla Twa, zbieranie funduszów.

Ks. Prow. Jarzębowski i dr O. Czarliński piszą o tradycji bielańskiego Zakładu. Ks. W. Okoński daje żywy artykuł „Pierwsza Msza św. w zburzonej Warszawie".

„BAL NA BIELANACH", organizowany przez Two, pod kierunkiem p. F. Pawlaka, zgromadzi chętnych do wspierania Kolegium **„na wesoło" (piątek, 14 bm., godz. 21, w Royal Institute Galleries, 195 Piccadilly W. 1;** wystąpi balet „Opoczno")...

We Włoszech powstał ruch pracownic domowych **„Tra noi"** (Wśród nas), powołany do życia przez **D. Sebastiana Plutino.** Ruch ten buduje **w Rzymie** dom pod wezwaniem **Matki Boskiej Salus Populi Romani** dla pracownic domowych.

*

Nowe seminarium duchowne w Gdańsku-Oliwie poświęcił J. Em. Ks. Kardynał Prymas Polski.

*

736 pisarzy pracuje w Polsce (dane z ostatniego zjazdu Związku Pisarzy w Poznaniu). 419 pisarzy przebywa stale w stolicy Kraju (60%), 112 mieszka w Krakowie, 43 w Łodzi, 14 w Gdańsku, 30 w Poznaniu, 12 w Bydgoszczy, 16 w Olsztynie, 10 w Szczecinie, 9 w w Opolu.

*

W Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie powstał **Północno - Amerykański Komitet Współpracy z Uniwersytetami w Polsce.**

Przewodniczącym komitetu został prof. T. F. Domaradzki (uniwersytet w Montrealu); wiceprzewodniczącymi — prof. Z. Folejewski (Wisconsin) i prof. W. J. Wagner (Notre Dame); sekretarzem gen. — prof. A. Ehrenkreutz (Michigan); zastępcą sekretarza gen. — prof. W. Chrypiński (Detroit i Windsor); sekretarzem finansowym — prof. L. Kos-Rabcewicz-Żubkowski (Montreal).

(Informacja z biuletynu **Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych,** których prezesem jest prof. W. J. Wagner, a sekretarką p. H. Przybysz.)

*

W Canterbury (Kent w Anglii) znajduje się starożytna oberża **„Fleur-de-Lys"**, którą regularnie odwiedzał w ostatnich latach swego życia **Józef Conrad-Korzeniowski,** gdy mieszkał w pobliżu miasta. Odwiedziny i rozmowy, jakie prowadził „stary wilk morski" i wielki pisarz, pozostały żywe w pamięci miejscowej.

*

„Głos Polski" (Buenos Aires, 13. 12. 57) w artykule R. Dąbrowskiego pt. „Emisariusze", podjął polemikę z artykułem Stefana Kisielewskiego w ŻYCIU — w obronie „nieprzejednanych"; numer z 27. 12 przedrukował pierwszy głos polemiczny z ŻYCIA, P. Jasieńczyka.

*

Pokaz mód w... „niebie"! Londyńskie Stowarzyszenie Artystów Mody zorganizowało pokaz modeli w Dartmouth House, gdzie nabywcy, dyplomaci, gwiazdy filmowe, prasa i ministrowie tłoczyli się w niebieskiej sali, wśród obłoków z tiulu, dekoltowanych „aniołów" ze skrzydłami, nimbami i harfami... Moda angielska nigdy nie zdradzała poczucia smaku.

*

Produkcja filmowa świata wynosi około 2.000 filmów rocznie, jak podaje statystyka UNESCO. Wyświetla się je w około 130.000 kinoteatrach i ogląda je około 240 milionów ludzi w ciągu tygodnia.

REKOLEKCJE

Wielkanocne rekolekcje zamknięte dla Panów w Domu Rekolekcyjnym oo. jezuitów w **Southwell House, 39, Fitzjoh'n Avenue, N. W. 3.** Początek w piątek, 7 marca, o godz. 18.30; zakończenie w niedzielę, 9 marca, około godz. 17.

Konferencje rekolekcyjne poprowadzi **ks. Andrzej Janicki,** marianin z Fawley Court. Koszt wyżywienia i noclegów 50 szyl.; bez noclegów 30 szyl.

Zgłoszenia w Sekretariacie P.K.S.U. „Veritas", 21 Earls Court Square, S.W.5, tel. FRE 2551 w godz. 9-13.

Rekolekcje zamknięte dla pań, które prowadzić będzie **o. Tadeusz Sporny,** jezuita, odbędą się w Cenacle Convent, **33 West Heath Road, N.W.3,** w dwóch terminach: I — 25-28 marca, początek we wtorek o godz. 15.30, koniec w piątek o godz. 10. II — 28-31 marca, początek w piątek o godz. 18.30, koniec w poniedziałek o godz. 9 rano.

Zgłoszenia do **p. Z. Mycielskiej, 93 Philbeach Gardens, S.W.5, tel. FRE 7156,** w godz. 16-18 do 22 marca. Uczestnictwo — 3 szyl., koszt pobytu w klasztorze, bez względu na ilość dni, 40 szyl. Zgłoszenia pań dochodzących nie będą przyjmowane.

Dojazd do klasztoru koleją do Finchley Road, albo do Hampstead. Autobusami 2, lub 28 do przystanku Platts Lane.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.